EPOKA

ROK IV. Warszawa, 5 marca 1937 r. Rok IV, Nr. 5 (84)

Treść numeru:

PONAD PŁOTY I MURY...

Mowie swej z dnia 21 lutego płk. Adam Koc dał ścisłą nazwę „deklaracji ideowo-politycznej", niewątpliwie zdając sobie sprawę z różnicy pomiędzy tego rodzaju deklaracją a politycznym programem. Zaznaczył też w zakończeniu mowy, że wyłuszczył jedynie „ramowo" zasady, jakie wyznawać będzie tworzony przezeń obóz.

Charakter „deklaracji" zwolnił płk. Koca od tych precyzyj, jakich oczekiwano na podstawie różnych zapowiedzi, według których mowa płk. Koca stanowić miała moment zwrotny w układzie stosunków politycznych w Polsce, a nawet określić miała jakieś przeobrażenia ustrojowe. Takie też przypuszczenia wypowiadano w prasie zagranicznej, która w tak głośnych zapowiedziach upatrywała coś więcej, niż wstęp propagandowy przed wygłoszeniem „ramowej" deklaracji.

Okazuje się, że były to domniemania snute mniej lub więcej dowolnie, jak to zresztą dzieje się zawsze, kiedy zamiary polityczne otoczone są przez czas dłuższy mgłą tajemniczości.

Najwięcej zainteresowania budziło pytanie, jak płk. Koc wyobraża sobie urzeczywistnienie konsolidacji politycznej, do kogo wyciągnie dłoń, z kim chce zawrzeć akt politycznej zgody.

„Wyciągamy rękę — mówił — ponad płoty i mury, które w rzeczywistości czy w wyobraźni dotychczas dzieliły naród. Nienaruszalności tych murów niech strzegą gracze polityczni, niech je wzmacniają drutami kolczastymi w obronie osobistych lub partyjnych ambicyj i interesów. Z antykwariuszami tej smutnej przeszłości nie chcemy mieć nic wspólnego".

Naród dzielą różne „płoty i mury". Niebezpieczne są te, które zagrażają sile obronności i niepodległości państwa. Wśród stronnictw polskich, przez to samo, że są polskie, panuje na tym punkcie zgoda całkowita, która swój najjaskrawszy wyraz znajduje w jednolitym i ofiarnym stosunku do armii. Potędze i niepodległości państwa nie zagrażają natomiast różnice, jakie dzielą społeczeństwo na wierne państwu obozy. Nieuznawanie tych różnic cechuje tylko rządy w ustrojach dyktatorialnych. Takich rządów w Polsce płk. Koc nie zalecił. Nie powiedział: oto nasze zasady i dążenia, a żadnych innych głosić nie pozwolimy, wszystkie inne ugrupowania muszą być zniszczone.

Zastrzegł się tylko przeciw wszelkiej współpracy z „antykwariuszami smutnej przeszłości", nie określając wyraźnie, jakie ugrupowania polityczne do tego antykwariatu zalicza. Wspomniał wpraw-

dzie o graczach politycznych, którzy owe płoty i mury wzmacniają w obronie osobistych lub partyjnych interesów, za dużo jednak ma już za sobą politycznego doświadczenia, by nie wiedzieć, że gracze polityczni znajdują się we wszystkich obozach, co wszakże nie świadczy o tym, by same polityczne ugrupowania były tylko wyrazem sztucznych, fikcyjnych różnic ideologicznych.

Istnieją różnice całkiem pozytywne, istnieją więc różne polityczne obozy. Konsolidacja oznacza w języku politycznym taki układ stosunków, w którym takie a takie obozy w imię określonych w danej chwili celów dochodzą do współdziałania. Usunięcie istotne „płotów i murów" oznaczałoby powołanie do współrządzenia tych, którzy dotychczas od współrządzenia byli odsunięci. Wyciągnięcie rąk do wszystkich — bez wskazania, z jakimi żywiołami politycznymi pragnie się realnie współpracować, a więc przez udział w rządach i w pracy ciał ustawodawczych, nie stanowi aktu politycznego, któryby zmieniał obecny stan rzeczy.

Nie było w mowie płk. Koca potępienia innych politycznych obozów, nie było również żadnej wskazówki, którąby mogła świadczyć o próbach konsolidacji politycznej szerszej, niż wzmocnienie własnych szeregów.

Czy można wyobrazić sobie ową szerszą konsolidację bez zmiany ordynacji wyborczej, która, jak stwierdził nie kto inny, tylko senator Radziwiłł, usuwa od politycznego współdziałania i politycznej odpowiedzialności najszersze warstwy społeczeństwa?

W ustroju niedyktatorialnym rządzących i rządzonych dzieli taka przestrzeń, jaka istnieje pomiędzy parlamentem a społeczeństwem. Pomiędzy naszym parlamentem a najszerszymi warstwami ludności widać przestrzeń, która przeczy zasadom tej konsolidacji, jaka w naszych warunkach nastąpićby mogła, mimo nie dające się zatrzeć różnice ideologiczne. Niedopuszczenie do współrządzenia i współodpowiedzialności żywiołów demokratycznych nie zmienia dotychczasowej sytuacji politycznej w Polsce.

Nie analizujemy narazie poszczególnych punktów deklaracji płk. Koca, które zresztą politycznie uświadomionej części społeczeństwa nie mogły zaskoczyć. Być może, iż po deklaracji tej, po „ramowym" wyłuszczeniu ogólnikowych wskazań nastąpią enuncjacje wyjaśniające sposób, w jaki wskazania te mają być realizowane. Wówczas dopiero zrodziłby się nowy temat do rzeczowej politycznej dyskusji.

„JA SIĘ TAM POLITYKĄ NIE ZAJMUJĘ"

Zastępy, z których wstecznictwo rekrutuje swe siły.

Komentując w *Robotniku* uchwały ostatniego Kongresu PPS, Mieczysław Niedziałkowski silny kładzie nacisk na rolę, jaką w dziele przebudowy polityczno-społecznej odegrać mogą, obok proletariatu w ścisłym tego słowa znaczeniu, także inne warstwy upośledzone; warstwy, które do proletariatu siebie nie zaliczają, jakkolwiek wspólną z nimi dźwigają dolę krzywd i wyrzeczeń. „Obok proletariatu — stwierdza redaktor *Robotnika* — walczą o miejsce pod słońcem miliony chłopów, miliony stałych bezrobotnych, miliony młodych pracowników umysłowych i fizycznych, miliony drobnomieszczaństwa i — osobno miliony kobiet, które chcą być samodzielnym czynnikiem gospodarczym i kulturalnym".

Te miliony ludzi, cierpiących nędzę, a przeważnie na przymusową skazanych bezczynność, są ofiarami ustroju, który ich ani nakarmić ani zatrudnić nie potrafi. Wolno tedy przypuszczać, że powinny być tego ustroju przeciwnikami, że powinny walczyć o jego przebudowę w duchu nie tylko politycznego, ale i społeczno-gospodarczego równouprawnienia. Tak sądzi socjalizm. Tak sądzi też i polski jego przedstawiciel, Niedziałkowski, gdy oświadcza, że plan przebudowy, o ile ma być planem praktycznym, nie zaś mrzonką, musi objąć dążenia i potrzeby nie samego tylko proletariatu, ale jednocześnie i równorzędnie wszystkich rzesz ludowych — chłopów i bezrobotnych, warstw pośrednich i warstw zdeklasowanych.

Ale włączając te rzesze wielomilionowe do rachunku sił, powołanych do walki o postęp, redaktor *Robotnika* zdaje sobie sprawę, że socjalizm nie jest prądem jedynym, który na rzesze te liczy: liczy na nie także i faszyzm. I faszyzm, prąd zdeklarowanego wstecznictwa, sięga również po chłopów i bezrobotnych, po głodną inteligencję i zubożałe drobnomieszczaństwo. *Dynamika tych warstw stać się może dźwignią dziejów, ale może też stać się ich hamulcem.* Dźwignią lub hamulcem stanie się w zależności od tego, czy owładnie nią twórcza ideologia wyzwolenia społecznego czy trujący narkotyk faszyzmu.

Historia ostatniego dziesięciolecia, gdy spojrzymy na nią ze stanowiska chwili obecnej, a więc ze stanowiska zagrożonych podstaw demokracji, to — poniekąd — nic innego, jak współzawodnictwo między awangardą robotniczą a kapitałem finansowym i wielkoziemiańskim w dążeniu do zwerbowania pod swe znaki owych warstw pośrednich, rozjątrzonych swą niedolą, ale nie zawsze rozumiejących jej przyczyny, niezawsze zdolnych dostrzec jej sprawców. Drobnomieszczaństwo, w przeciwieństwie do wielkiej burżuazji i do proletariatu, to — istotnie — środowisko ludzi najmniej uświadomionych społecznie i politycznie. To — rezerwat ludzi niepolitycznych, obojętnych na prądy i antagonizmy życia publicznego; ludzi, wśród których najczęściej słyszy się oświadczenia tego rodzaju, co: „Ja się tam polityką nie interesuję".

Z tego to rezerwatu żywiołów niepolitycznych czerpały swe zasiłki wszystkie nadchodzące ruchy faszystowskie. Adolf Hitler w swym pochodzie ku władzy, nie tylko od początku odwoływał się do mas najmniej pod względem politycznym wyrobionych, ale i swe zwycięstwo ostateczne w marcu 1933 osiągnął dzięki pociągnięciu do urn 5 milionów obywateli, którzy nigdy przedtym w wyborach nie uczestniczyli, a więc byli politycznie obojętni.

Stronnictwa lewicowe czyniły wszelkie wysiłki,

aby rzesze obojętne zjednać: napróżno! Człowiek niepolityczny, głuchy na wołania swej przyszłości, swego losu, swego instynktu samozachowawczego, szedł, na przekór wszystkim interesom swej warstwy, na lep pokusy, za którą czaiła się tylko jeszcze głębsza niedola, jeszcze dotkliwszy ucisk. Stronnictwa lewicowe jak najusilniej pragnęły ludzi niepolitycznych pozyskać, ale nie zadawały sobie pytania, co to znaczy. człowiek obojętny lub niepolityczny?

Gdy właściciel fabryki lub właściciel wielkich dóbr ziemskich stoi w szeregach prawicy, to jest to rzecz zrozumiała. Orientacja lewicowa przeczyłaby zarówno jego interesom gospodarczym, jak jego sytuacji społecznej, i dałaby się wyjaśnić chyba tylko psychologicznie t. j. przez odwołanie się do motywów irracjonalnych. Niemniej zrozumiałą jest rzeczą, gdy robotnik przemysłowy staje w szeregach lewicy, gdyż taka właśnie podstawa jego wyrasta konsekwentnie z ekonomicznych i społecznych przesłanek jego bytu. Skoro jednak robotnik, bądź pracownik umysłowy, bądź funkcjonariusz publiczny ciąży ku prawicy, to ten kierunek jego dążenia da się wytłumaczyć jedynie polityczną jego dezorientacją, t.j. nieprzemyśleniem przezeń swego własnego w społeczeństwie stanowiska. Człowiek, należący do świata pracy, tym dostępniejszy bywa pokusom reakcji, im mniej jest wyrobiony politycznie. Skala podatności na pokusy i sidła reakcji bywa olbrzymia: istnieją naiwni, którym wystarcza prostacza plewa jakiegoś, dajmy na to, Piaseckiego, młócącego słomę w „Prosto z mostu", inni, nieskończenie wybredniejsi, aby popaść w sidła, muszą spotkać się z Carrelem lub Maritainem. Okazja, przy której człowiek świata pracy oddaje się w niewolę reakcji, nie jest ważna. *Ważne jest to, że zawsze bywa to człowiek niewyrobiony politycznie.* Niemniej ważne jest i to, że owa niepolityczność nie bywa, jak to się mniemać zwykło, jakimś stanem ducha biernym i bezwładnym, ale postawą aktywną, barierą czynnego odporu, skierowaną przeciw świadomości politycznej.

Wśród tej części inteligencji pracującej, która „z polityką nie chce mieć nic wspólnego", iluż znajdziemy ludzi, których do odstępstwa od własnych przekonań skłoniły interesy gospodarcze oraz obawy o karierę, uzależnioną od opinii wielkiej burżuazji! Wśród ludzi, którzy zajmują rozmaite stanowiska w procesach wytwórczych a mimo to są obcy polityce, dają się rozróżnić dwie wielkie grupy. Przedstawiciele jednej nieświadomie kojarzą pojęcie polityki z wyobrażeniem ryzyka, hazardu i niebezpieczeństwa, t. zn, z bojaźnią, która im wzbrania ustosunkować się, jak należy, do rzeczywistości. U drugich, stanowiących niewątpliwą większość, niechęć do polityki polega na całkowitym pochłonięciu przez zatargi i troski osobiste, codzienne, prywatne, a przede wszystkim przez troski płciowe, erotyczne, które, tłumiąc wszelkie zainteresowania wyższe i szersze, nie pozwalają im osiągnąć treści i konsekwencji politycznej.

Jeśli młoda maszynistka lub nauczycielka, której sytuacja gospodarcza zawiera w sobie aż nadto wiele pierwiastków do wytworzenia określonych poglądów politycznych, pozostaje mimo to daleka od polityki, to w 99 wypadkach na 100 dzieje się to z powodu t. zw. „historyj miłosnych", czyli — mówiąc poważnie — z powodu krępujących warunków, które każą jej bez reszty tonąć w konfliktach i powikłaniach płciowych, a także w konfliktach i powikłaniach rodzinnych. To samo powiedzieć można i o każdej mężatce z kół drobnomieszczańskich, o każdej kobiecie, która wszystkie siły duchowe zużywać musi na to, aby panować nad swą sytuacją płciową, aby podołać walce, w jaką wikła ją ustrój, poddający wymagania i popędy natury wymaganiom rynku pieniężnego.

Rzecznicy wyzwolenia społecznego lekceważyli dotychczas tę stronę zagadnienia: ludzi niepolitycznych usiłowali oni zjednać dla polityki w ten sposób, że kładli nacisk na ich niezaspokojone interesy i potrzeby gospodarcze. Praktyka wszelako uczy, że masa, składająca się z jednostek politycznie mało wyrobionych, niechętnie podaje ucho wywodom, dociekającym rzeczywistych przyczyn jej niedoli, z zapałem natomiast chwyta mistyczny frazes demagoga faszystowskiego, choć ten zazwyczaj o interesach i potrzebach gospodarczych nie mówi zbyt wiele.

Czym to wytłumaczyć? Skąd to wynika? Oto stąd, że ciężkie konflikty rodzinne i seksualne, bez względu na to, czy je człowiek nosi w sobie świadomie czy nieświadomie, krępują go i biorą w niewolę, wytrawiają w nim pewność siebie i odwagę a nadewszystko tamują i wypaczają w nim kierunek racjonalnego myślenia: *kierunek, wiodący ku wyzwoleniu, ku radości życia, ku nowym wysiłkom i zdobyczom cywilizacji.*

Nie jest przypadkiem, że kościół (mamy na widoku, rzecz prosta, jego organizację najpotężniejszą, t. j. kościół rzymski) będący instytucją życia religijnego, rości sobie zarazem prawo do nadzoru jeśli nie do monopolu w dziedzinie regulowania stosunków płciowych i rodzinnych, a ponieważ dalszym ciągiem rodziny jest szkoła, więc — także i stosunków szkolnych. Bazą etyki, głoszonej przez kościół, czyż nie jest etyka seksualna? Własnym sługom swoim narzucając celibat, jako szczególną podporę powołania, czyż nie okazuje on przez to, że zagadnienie płci i wynikające zeń rygory zalicza do zagadnień najważniejszych w budowie władzy człowieka nad człowiekiem? Faktem jest, że dominującym probierzem stosunku kościoła do rządu w każdym państwie bywa nie polityka społeczna i gospodarcza, nie krzywda lub dobrobyt ludu, ale przede wszystkim stosunek do ustroju rodziny, do ustawy małżeńskiej, do kierunku oświaty. Czyżby kościół nie doceniał wagi spraw gospodarczych i społecznych? Docenia je z pewnością. Ale jednocześnie rozumie, że może być o swe pozycje społeczne spokojny, jeśli trzyma w ręku klucze od ustroju rodziny, od kodeksu życia płciowego, od kanonów wychowania młodzieży.

Tak. Spokojny o swą teraźniejszość, kościół do niedawna był spokojny także i o przyszłość. Mógł być o nią tym spokojniejszy, że obóz postępu, że radykalizm społeczny, walcząc przeciw materialnemu wyzyskowi świata pracy, nie tykał wcale zagadnienia jego niedoli społeczno-seksualnej, nie podważał jarzma jego trosk rodzinnych. Wygradzając to zagadnienie, jako kwestię w życiu człowieka wyłącznie prywatną, obóz postępu, w istocie rzeczy, pozostawiał we władaniu przeciwnika jedną z najwarowniejszych twierdz jego królestwa.

Wiktor Zieliński

O POWRÓT DO PRAWA

Znakomity pisarz angielski H. G. Wells niedawno w rozmowie z jednym z publicystów o teraźniejszości świata wyraził paradoksalne zdanie: „Oczekuję zbawienia od ruchu, który nie będzie ani faszystowskim, ani komunistycznym, ale będzie... międzynarodowym". Zapytany, jak sobie ten przyszły ruch zbawczy wyobrazić, jakimi drogami może on przyjść i dokonać swego dzieła, sędziwy, ale wiecznie młody duchem pisarz, odpowiedział ku zdumieniu swego rozmówcy: przez uniwersytety, trzeba stworzyć przede wszystkim encyklopedię, niechaj będzie ona bardziej powszechna, niż słynna encyklopedia francuska XVIII wieku, ona to przygotuje przeobrażenie

W głębi paradoksu Wellsowskiego tkwi słuszne przekonanie, że trzeba wychować całe pokolenie na nowych zasadach i ideach. Powiedzmy nawet dokładniej: nie na nowych zasadach, ale na innych, niż te, które ostatnio sprawowały przemożną władzę nad światem. Będą to oczywiście te same wiecznie żywe zasady wolności, równości, sprawiedliwości społecznej, na których jedynie oprzeć się może w granicach ludzkich możliwości dobre i szczęśliwe życie jaknajszerszych rzesz. Nie masz innego wyrazu uzewnętrzniającego te zasady, jak prawo. Powrót do prawa zarówno w życiu wewnętrznym państw i narodów, jak w stosunkach międzynarodowych, to byłby pierwszy wynik tej nie napisanej, a zamyślonej encyklopedii przez Wells'a marzyciela, którego wiele fantazji z zakresu techniki spełniło się. Bardzo liczne objawy życia społeczeństw, które noszą obecnie nazwę formalną prawa, w rzeczywistości nim nie są. Poczucie to rozwija się, rośnie i w życiu niektórych państw bardzo wyraźnie uzewnętrznia się.

Mało uwagi wśród splotu wielkich wydarzeń zwraca się na przykład na przeobrażenia, którym podlegają w ostatnim czasie po zgonie Juliusza Gömbös'a Węgry. A tam właśnie odbywa się powolny i mozolny powrót do prawa. Pod rządami Gömbös'a Węgry utraciły parlament. Państwo, które pierwsze po Anglii wkroczyło na tory ustroju parlamentarnego, zostało skazane na fikcję sejmu przez wprowadzenie systemu jawnego głosowania i ordynacji wyborczej, przewidującej tak zwane polecenia kandydatów na piśmie. Dokonane jeszcze za życia Gömbös'a na zasadzie takich przepisów wybory dały w wyniku izbę z przeważającą większością partii rządowej t. zw. Jedności Narodowej.

Ale cóż się okazało: kilkadziesiąt mandatów znalazło się pod znakiem zapytania. Wybory w 26 wypadkach zostały przez niezależne instancje rządowe, do których nie dotarła jeszcze deprawacja, skasowane. A wśród tych unieważnionych mandatów znalazł się jeden zupełnie wyjątkowo wymowny. Skasowaniu wyborów w tym wypadku przewodniczący Trybunału Puky poświęcił z okazji 10-lecia istnienia tej instytucji specjalne przemówienie. Mówca uważał, że dla podkreślenia znaczenia prawa i sądu w państwie nie trzeba mówić o niczem, jeno dokładnie zreferować wypadek następujący. Przy wyborach do izby w okręgu Tarpa w 1934 r. zjawił się do stronnictwa rządowego pan nazwiskiem Kenyeres, ofiarował pewną sumę na akcję wyborczą, zapisał się do partii Jedności Narodowej i wystąpił poparty przez całą potęgę władzy żupana i administracji miejscowej przeciw kandydującemu z tego okręgu przywódcy opozycji Bajcsy Zsilinszky'emu. Wynik wyborów był z góry przesądzony: mandat uzyskał p. Kenyeres, przyjęty z radością w gronie klubu rządowego „Jedności Narodowej". Aliści uparty i energiczny opozycjonista p. Zsilinszky narażając się na różne kłopoty i niebezpieczeństwa zdołał zdobyć dowody, że p. Kenyeres występuje pod fałszywym nazwiskiem, że jest to niejaki Kaufmann karany przed wielu laty za oszustwa, później emigrant, a wreszcie pod fałszywym paszportem zamożny obywatel i członek partii Jedności Narodowej. Rozpoczęła się żmudna walka w instancjach parlamentarnych i sądowych, początkowo za życia Gömbös'a nieomal beznadziejna. Zsilinszky dotarł jednak do najwyższego trybunału, który w styczniu r. b., stwierdził, że p. Kenyeres jest kryminalistą Kaufmannem, wybór jego unieważnił i w okręgu Tarpa przywrócił legalne przedstawicielstwo wyborców. Niebywały ten wypadek poruszył całe społeczeństwo węgierskie.

Nowy rząd, który pod hasłem pojednania ze społeczeństwem i powrotu do prawa objął władzę pod przewodnictwem p. Daranyi, wkrótce po tym wszedł na drogę przywrócenia prawdziwego prawa głosowania, skasowania jawności wyborów, zniesienia „poleceń", które były źródłem nieustających fałszerstw, nadużyć i gwałtów. Rzecz posuwa się powoli naprzód: już teraz izba węgierska obraduje nad projektem ustawy, który zasadę „poleceń" redukuje do możliwych rozmiarów, a jednocześnie opracowuje się projekt ustawy o tajnym głosowaniu z tym, że przyszłe wybory do parlamentu miały by się odbyć, już według nowej ustawy, zaś przy wyborach uzupełniających czystość ich ma być zapewniona przez przepisy tymczasowe. Wpłynęło to ogromnie na złagodzenie walk wewnętrznych: skromna liczebnie w stworzonym przez Gömbös'a parlamencie opozycja demokratów, partii drobnych rolników i socjalistów wobec nowej atmosfery rządów Daranyi'ego bierze czynny udział w pracach parlamentarnych. Oczywiście w partii rządowej Jedności Narodowej są czynniki, które działają w kierunku opóźnienia powrotu do prawa. Wspiera je nie wielka a krzykliwa grupa narodowych socjalistów węgierskich z hrabią Festeties'em na czele, który niedawno na swoim mityngu oświadczył: „Parlament będzie zniesiony", a o formie ustroju państwowego, zadecydujemy sami, gdy ujmiemy władzę w ręce". Ten okrzyk rozzuchwalonego hitlerowca nie powstrzyma ewolucji w kierunku przywrócenia prawa, którą przechodzą Węgry, bo całe społeczeństwo już uświadomiło sobie, jak gdyby z encyklopedii Wellsa, że dyktatura prowadziła kraj do katastrof wewnętrznych i zewnętrznych.

***

Pobiegnijmy myślą daleko z równin Panonii w Europie na wyspy Kwitnącej Wiśni — do Japonii. I tam obserwuje się zjawisko bardzo podobne.

W ostatnich latach po wielkiej wojnie faktyczną władzę w cesarstwie japońskim ujęły w swe ręce czynniki wojskowe, pchające kraj, w którym kilkadziesiąt milionów włościan i robotników żyje na najniższej stopie życiowej, do zaborów i wojny. Od czasu do czasu wstrząsa krajem zamach spiskowców

wojskowych, usuwających z drogi tych, którzy usiłują się im przeciwstawić. Dokonane po ostatnim takim zamachu w lutym 1936 r. wybory do parlamentu, doprowadziły do ostrego zatargu. Rząd pp. Hirota — Arita — gen. Terauczi, nazwany w izbie stromanem kół wojskowych pod naporem opinii publicznej ustąpił. Nowy gabinet gen. Hajaszi, utworzony z wielkim trudem przy pomruku niezadowolenia spiskowców, wycofał napęczniały zbrojeniami budżet, ale nie ma odwagi zerwania z kliką, która dalej pcha do totalizmu i imperializmu. Wyniki tego stanu rzeczy są zupełnie wyraźne dla każdego bezstronnego obserwatora: pomimo pozorów potęgi Japonia słabnie, ponosi klęski w polityce zagranicznej, nie rozstrzyga doniosłych zagadnień wewnętrznych i gospodarczych. To, co jeszcze przed paru laty, mogło wydawać się osiągalnym dla polityki tokijskiej, mianowicie głęboka penetracja do Chin i zagarnięcie osłabionego państwa Niebieskiego, dziś już jest mrzonką.

Chiny okrzepły i zmężniały, pomimo różnych perypetii walk wewnetrznych, Japonia z opancerzonym kułakiem, osłabła. Publicysta niemiecki Günther Stein który od dłuższego czasu bawi w Tokio, pomimo sympatii dla militarystycznej reakcji japońskiej, musi przyznać, że „według powszechnej opinii społeczeństwa japońskiego ujemne strony faszyzmu ujawniły się w całej okazałości, państwo jest jak gdyby w nieustającym stanie wojny, kryzys w polityce wewnętrznej i zewnętrznej Japonii od czasu paktów z Niemcami i Italią wzrasta".

Powrót na drogę prawa, do którego wzywają dwie umiarkowane burżuazyjne partie japońskie Sejukaj i Minseito, poparte z tym żądaniem przez partię pracowniczą, której przedstawiciele po raz pierwszy w większej liczbie zasiedli w parlamencie — oto jedyna droga wyjścia. Dotąd nie ruszono nią naprzód, ale nastąpiło jak gdyby chwilowe zatrzymanie na drodze przeciwnej gwałtu, bezprawia, wojny.

**
*

Gdzie prawo stoi w całej okazałości na straży interesów ludu i narodu, jak np. we Francji, tam chciałaby reakcja doczekać się załamania prawa, bo to by jej otworzyło wrota do władzy. Już 9 miesięcy stoi u władzy rząd Frontu Ludowego premiera Bluma. Spełnia swój program wiernie i sumiennie. Raz po raz reakcja swoja i obca przepowiada i zapowiada jego upadek. Po dłuższej przerwie takie zapowiedzi się ponowiły niedawno: można było wyczytać w pewnych pismach polskich dokładne informacje o rekonstrukcji rządu Bluma, o rozszerzeniu jego podstawy, o przyciągnięciu jednej z grup prawicowych. Powtarzano bezmyślnie i bezkrytycznie głosy prawicy francuskiej, nie licząc się ani z walorem ani zasięgiem cytowanych pism. A w rzeczywistości premier Blum w przemówieniach w St. Nazaire i w Nantes, gdzie spotkał się z dziesięciotysięczną rzeszą robotniczą i jak mówił, jako Anteusz dotknął ziemi t. j. środowiska robotniczego, zapewnił, że nie ma zamiaru ani ustępować, ani rekonstruować, ani cofać się przed wykonaniem programu. Następuje pauza, nieodzowna po dokonanej wielkiej pracy przeobrażeń społecznych, ujętych w prawo, dla nabrania sił i tchu do nowego etapu. — „P. Flandin — mówił premier francuski w St. Nazaire — ma uprzejmy zamiar zapytania mnie w Izbie, czy nastąpi zmiana polityki rządu. Odpowiem mu na to w Izbie, bo tak być powinno w ustroju parlamentarnym. Ale mogę tu narazie wam wyłożyć w krótkości to, co mu odpowiem: nie ma mowy o zmianie polityki. Nie ma mowy dla nas o zerwaniu, rozluźnieniu, porzuceniu węzłów, które nas łączą z masami ludowymi, których jesteśmy wyrazem i których aspiracje chcemy zadowolić. Sądzimy — i to powiem w Izbie — że pod każdym względem i w każdym zakresie, czy to wewnętrznym, czy międzynarodowym, pozostajemy sercem i duszą w myśli i literalnie rządem Frontu Ludowego..." Tego oświadczenia premiera sprzymierzonej z Rzecząpospolitą Francji, na próżno byśmy szukali na łamach prasy polskiej. Nie doszło do niej. A należałoby o nim wiedzieć w Polsce, aby zdawać sobie sprawę, że w polityce wewnętrznej Francji sprawiedliwość społeczna w całym majestacie prawa jest i będzie nadal realizowana. Powodzenie i dobre wyniki rządu Frontu Ludowego we Francji są oczywiste i bezsprzeczne. Przyjaciół tego rządu i sprawy, której on służy, niepokoi dotychczas pewna słabość w dziedzinie zagranicznej w stosunku do Hiszpanii.

W nocy z 20 na 21 lutego wszedł w życie międzynarodowy zakaz wysyłki ochotników, wprowadzony przez wspólną akcję brytyjsko-francuską, a w szczególności przez energiczną tym razem postawę Francji. która po nieukrywanych już zwycięstwach włoskich pod Malagą, zapowiedziała po prostu czynną interwencję. Gdyby w istocie polityka gabinetu Bluma, poparta przez W. Brytanię, doprowadziła do wygaśnięcia interwencji hitlerowsko - faszystowskiej, byłby to sukces ogromny, a przyszłe zwycięstwo rządu legalnego Hiszpanii zapewnione. Był by to jeszcze jeden nawrót do prawa i to w skali międzynarodowej. Ale czy można być tu optymistą?

Po tym, gdy na łamach „Regime Fascista" p. Farinacci b. sekretarz partii faszystowskiej „wyraził radość niezmierzoną z powodu zwycięstwa włoskiego pod Malagą", i podkreślił, że „będzie to dla Francji i Rosji twarda nauka", czasopismo francuskie „Vendredi" zwróciło się doń z dwoma zapytaniami: Jak to się stało, że skazany na 3 lata więzienia za przestępstwo pospolite Pietro Zighetti otrzymał od sekretarza partii faszystowskiej w Cremonie radę, by zaciągnął się do Hiszpanii w zamian za co będzie wolny od kary, dlaczego akt zaciągu odbył się w koszarach i po wydaniu oświadczenia przez lekarza milicji faszystowskiej? A oto drugie pytanie do p. Farinacci: Dlaczego Carlo Berthe żołnierz z wojny abisyńskiej, który po powrocie do kraju nie znalazł pracy, otrzymał od partii faszystowskiej radę zaciągnięcia się do Hiszpanii. Pytań takich, jak uprzedza „Vendredi", można zadać więcej. Oto, jak wygląda prawo, które miało być przywrócone. Nic też dziwnego, że z pod pióra b. ministra belgijskiego Emila Vandevelde'go, gdy pisze o Hiszpanii wyrywa się pod adresem wielkich demokracji zachodnich okrzyk świętego Pawła: „Twój brat był nagi i okryty ranami, wzywał o pomoc. Tyś go nie ratował! A więc ty go zabiłeś". W innej części świata tragedia, która taki właśnie miała przebieg pociąga za sobą dalsze krwawe dzieje: granaty w Addis Abebie, rany wicekróla marsz. Graziani'ego, później ekspedycja karna w krainę jezior i masowe egzekucje. Naruszone prawo jak gdyby mści się i pociąga za sobą nowe walki, nowe ofiary, nowe krzywdy dopóty, dopóki sumieniu i sprawiedliwości nie stanie się zadość.

t. r.

Z DNIA NA DZIEŃ

CZY MOŻNA STOCZYĆ SIĘ NIŻEJ?

Przechodnie z ulicy Wiejskiej w Warszawie zauważyli w ostatnich czasach, że niektórzy posłowie i senatorowie, wychodząc z gmachów parlamentu, wpinają w klapę swoich palt sławetne „mieczyki", godło mocarstwowej endecji, tak słusznie wyszydzone przez obecnego premiera.

Ten czuły zabieg dekoracyjny jakże wiele mówi o wewnętrznym usposobieniu naszych „przedstawicieli". Rozumieją oni, że nie przedstawiają nikogo, prócz siebie i swoich bezpłatnych biletów kolejowych. Zdają sobie sprawę z tego, że są odosobnieni, samotni, odcięci od współżycia z krajem.

Czują, że są więźniami pustki, w jakiej się zamknęli.

I oto, aby tę pustkę pokonać, aby nawiązać bodaj cień łączności ze światem, podciągają się pod cudze godła.

Wspinają się do endecji: czy można stoczyć się niżej?

CHWALEBNA SZCZEROŚĆ

„Kurier Poranny" z chwilą objęcia redakcji przez Goetla i Skiwskiego przeżył radykalną odmianę kierunku. Z rzecznika postępu i reform społecznych stał się kazalnicą nacjonalizmu.

Sądzimy, że zbyteczną byłoby rzeczą wdawać się w merytoryczną ocenę tego faktu. Na uznanie natomiast zasługuje odwaga i szczerość, z jaką nasi panowie dokonali metamorfozy dziennika. Kto inny starałby się jego abonentów uwieść przebiegłymi pozorami ciągłości. Próbowałby mydlić im oczy tym, że nowa redakcja jest dalszym ciągiem poprzedniej, że jest jej konsekwentnym rozwinięciem. Inaczej Goetel i Skiwski. Obaj ci panowie, odrzucają fałszywe obsłony, stanęli odrazu wobec czytelników „Kuriera Porannego" w całej okazałości nowego rynsztunku.

Brutalna szczerość jest w każdym wypadku lepsza od najdeliktaniejszej obłudy.

DUCH JANUSA

W nr. 8 *Tygodnika Ilustrowanego* p. R. Z. w artykule wstępnym pod tytułem „Rewolucja faszystowska w I.P.S." piętnuje metody Instytutu Propagandy i Sztuki i protestuje przeciwko wyborowi eksponatów bez jury: „na wzór Moskwy, Rzymu czy Berlina zamianowano komisarza i wyposażono go w atrybuty władzy faszystowskiej".

O trzy stronice dalej w tym samym numerze *Tygodnik* kruszy kopie o rzeczy wprost przeciwne: o prestiż faszyzmu. Broni cesarskiego tytułu króla włoskiego i gromi wszystkich, co ani moralnie ani prawnie nie chcą uznać zaboru Abisynii: jest to wynik roboty antyfaszystowskiej, naturalnie, są to „dalsze rozgrywki masonerii i kominternu".

Więc na stronicy 141 *Tygodnika* stanowisko antyfaszystowskie w obronie wolności, zaś na 144 apologia i obrona faszyzmu. Nie strupieszał jeszcze staroitalski Janus o dwóch twarzach! Przesłońcie mu wreszcie jedną!

SĄD PROF. STANISŁAWA KUTRZEBY

Prof. Stanisław Kutrzeba, zasłużony historyk, generalny sekretarz Polskiej Akademii Umiejętności ogłosił broszurę p. t. „Państwa totalne" *). Stanowisko autora napewno nie wywoła zachwytów wśród staro i młodoendeckich totalistów, zalecających stosowanie w Polsce wzorów obcej dyktatury. Różnimy się w ocenie i w pojmowaniu niektórych stron totalnej rzeczywistości i nie pod wszystkimi poglądami prof. Kutrzeby podpisać się możemy. Praca prof. Stanisława Kutrzeby świadczy jednak, że żaden umysł światły i krytyczny nie poddaje się dziś zarazie totalnej i nie ustąpi prymatu niepodległego rozumu na rzecz myślowego prostactwa. Z tych więc względów godzi się tutaj przytoczyć i uchronić od celowego przemilczenia garść najważniejszych uwag i spostrzeżeń autora „Polski współczesnej".

Gaz rozweselający.

...„Programowość w postępowaniu — to jednak pewna nowość. Że się ją narzuca z góry, że się nakazuje wierzyć bezwzględnie władzy — to nic nowego; absolutne państwo z końca XVIII i pierwszej połowy XIX stulecia także uważało, iż umysł poddanych jest ograniczony, dobry tylko do słuchania rozkazów z góry. Nowością jest cała ta wspaniała *inscenizacja*, która doprowadza do wytworzenia zapału, entuzjazmu ludności, gotowej do wszelkich ofiar, zmienia podatki w dobrowolne dary, radością życia zastępuje braki; podobno tylko w kraju Sowietów, nie widać jakoś śmiechu i radości. Stąd to te ciągłe zjazdy dziesiątek tysięcy, barwne, pełne śpiewu Horst Wessel czy Giovinezzy, okrzyków na cześć wodzów. Technika naprawdę wspaniała, zdumiewająca. Jakże ponuro w porównaniu wyglądało wykonywanie życzeń monarchów absolutnych. A dziś — niczym operacja pod chloroformem. A raczej przy jakimś rozweselającym gazie".

Myśl w niełasce.

„Dyktatura nie lubiła nigdy myśli i krytyki — i dziś nie lubi. I trudno się temu dziwić: krytyki nikt nie lubi, jeśli jego się tyczy, tym bardziej, jeśli może to zachwiać jego znaczeniem. Ale jeśli mimo wszystko myślenia nie można zabronić, to można jednak zakazać przejawiania niepożądanych myśli na zewnątrz — można zapobiegać, by nie pojawiły się podniety do ich rozwijania, do krytyki. A więc — cenzura słowa mówionego i pisanego. A więc — wprowadzenie tylko pism rządowych, jak w Rosji, albo nadanie pismom bezwzględnie kierunku według życzeń rządu. Zgleichschaltowanie prasy — jak to się dziś mówi. We Włoszech jeden dziś tylko dziennik, mający większą swobodę pisma — to „Osservatore Romano", wychodzący jednak na terytorium suwerennego państwa papieskiego — Citta di Vaticano. W Niemczech nie ma żadnego"

Szczury okrętowe.

„A nieprawomyślni, wyrażający swoje krytyki lub choćby o nie podejrzewani — znajdują pomieszczenie w obszernych obozach izolacyjnych. Tak na wszelki wypadek. O ile nie przedostali się zawczasu za granicę i nie utworzyli emigracji. Ale czy wszyscy? Czy nie zostało dość w kraju takich, co chcą myśleć i krytykować, choć na razie milczą? Tylu ani usunąć z kraju by nie można, ani zamknąć w obozach izolacyjnych. Są — czy nie ma ich? I ilu? Któż to może wiedzieć? A czy ci, co przyznają się dziś do haseł państwa totalnego, wierni im zostaną w razie jakiejś zmiany, jakiegoś kryzysu, zewnętrznego czy wewnętrznego? wszakże uciekają nawet szczury z tonącego okrętu".

Bezprawie jako prawo.

„Przekreślono te przepisy, które zdobyte były w długich walkach politycznych, które uchodziły za największą zdobycz społeczeństw. Miejsce prawa zastępuje inne pojęcie — autorytetu. Decyduje o wszystkim najwyższy autorytet — wodza. Odbiciem tego autorytetu są autorytety niższe, coraz niższe — aż do zupełnie małych. A więc rozrost administracji, jej działalności, usunięcie organu parlamentarnego jako czynnika kontroli, ograniczenie lub zniesienie samorządu. Prawo staje się płynne".

Na krótką metę.

„Jeśliby te czynniki, które dziś rządzą w państwach totalnych, chciały utrzymać ten regime, władzę zachować w

---

*) *Stanisław Kutrzeba:* Państwa totalne. Światła. Cienie. Przyszłość. Kraków 1937. Składy Główne w księgarniach Gebethnera i Wolffa.

swoich rękach, to nie wystarczy, by opierały się na sile. Jakoś to tak wyrażono: bagnetami można zdobyć władzę, ale na bagnetach siedzieć nie można. Choćby ta siła była doskonale zorganizowana i obejmowała znaczny odłam społeczeństwa. *Siła może czas jakiś zwyciężać — na dłuższą metę zawsze przegrywa, jeśli występuje do walki z duchem.* Z ideą. I bez idei można skupić ludzi, którzy się łączą dla wykonania władzy; ale taki związek sam w swej istocie już jest zgniły, bo bez wiary, bez zapału w własne działanie, bez więzi, którąby nakazywała istotną łączność, a nie tylko dla korzyści. Nie pociągnie tych, którzy są najwięcej warci moralnie — ideowców".

NAUCZYCIELE

O powieści St. Łukasiewicza p. t. „Nauczyciele" zamieściliśmy już w „Epoce" sprawozdanie, oceniające tę rzecz ze stanowiska sztuki literackiej. Ocena wypadła surowo, ale oświetliła tylko jedną stronę zjawiska: estetyczną. Utwór Łukasiewicza nie mieści się wszakże w ramach zwykłej poprawnej powieści. Zbliżony charakterem do tego typu literatury, którą przedstawiają „Pamiętniki Bezrobotnych" jest on nietylko kompozycją pisarza, ale i dokumentem życia, wniebogłośnym świadectwem naszej rzeczywistości. Ten krzyk życia, bijący z kart książki Łukasiewicza, skłania nas ku temu, aby wrócić do niej po raz drugi i — z głębszą uwagą.

Red. „Epoki".

O katastrofalnych zaległościach, ciążących na rachunku naszej beletrystyki współczesnej, świadczy fakt, że teraz dopiero, w dwudziestą niemal rocznicę odbudowania szkoły polskiej pod nową opieką własnego Państwa, ukazała się powieść, wprowadzająca nas w stosunki tej tak niesłychanie ważnej sfery działania publicznego: działania, które, kształcąc dziatwę i młodzież, kształtuje przyszłość narodu. Tą powieścią są „Nauczyciele" Stanisława Łukasiewicza. (Nakład F. Hoesicka, Warszawa, 1937).

GDZIE SĄ NASTĘPCY SIENKIEWICZA, PRUSA, ŻEROMSKIEGO?

Jakże znamienną przytym jest rzecza, że powieść, która wreszcie przełamuje obręcz solidarnego milczenia, okalającego progi naszego szkolnictwa, jest debiutem nieznanego przed tym autora, i że autor ten, odtwarzając środowisko pewnej uczelni, odtworzył jeśli nie rozdział swego własnego życia, to z pewnością piekącą kartę swej osobistej bezpośredniej obserwacji. W ciągu całych lat dwudziestu, wśród naszych pisarzy znanych i uznanych, nie znalazł się ani jeden, ktoby okiem artysty spojrzał na niwę oświaty w swoim kraju, na los ucznia i nauczyciela, na ich wzajemny do siebie stosunek, na owoc ich wspólnego wysiłku. Gdzież są — możnaby się spytać — w Polsce niepodległej następcy Prusa, Sienkiewicza, Orzeszkowej i Żeromskiego? Czyż ci, którzy tłumili łzy, czytając kartki „Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela" lub z wypiekami na twarzy chłonęli gorycz „Syzyfowych prac", osadzili, że z chwilą, gdy zmartwychwstało Państwo Polskie, mogą z bezgranicznym zaufaniem duszę dziecka powierzyć jego wszechopiekuńczej biurokracji: jego inspektorom, wizytatorom, kuratorom i sanatorom?

Na pierwszy obraz powieściowy, będący próbą prześwietlenia naszych stosunków szkolnych, czekać musieliśmy bardzo długo. Tak długo, dopóki obrażone sumienie obywatela, wychowawcy i artysty w samej nie narodziło się szkole; dopóki szkoła sama, przez usta jednego ze swych pracowników, nie przemówiła do społeczeństwa ponad głową tej właśnie biurokracji, której cała patentowana literatura wspaniałomyślnie odstąpiła rządy nad młodzieżą.

NIEMY FILM CIERPIENIA LUDU

Co prawda, gdy wgłębiamy się w lekturę „Nauczycieli", zaczynamy rozumieć, jak niełatwe zadanie ma pisarz utalentowany, podejmujący tego rodzaju temat. Poniekąd, przestajemy się dziwić, że omijają go firmy, cieszące się kredytem na giełdzie powieściopisarskiej i nieskore do konfrontowania sił swoich z kompleksami nowych i wielkich zagadnień. Funkcja oświaty w życiu i rozwoju narodu — to temat równie olbrzymi, jak konflikt pracy i kapitału, jak służba religii, jak rola pieniądza. Przedstawić w powieści organizmy gospodarczo-społeczne, które wokół tych funkcyj i konfliktów narosły, przedstawić wpływ tych kolosalnych organizmów na charakter i los jednostek ludzkich, to — zadanie niebylejakie; zadanie o ileż śmielsze i bardziej odpowiedzialne od haftowania zwykłych przygód na kanwie miłosnej i alkowianej, choćby zaprawionej motywami mniej lub więcej drastycznych zboczeń i pikanteryj.

Ażeby podjąć temat żywotny i tematowi takiemu sprostać, autor musiałby szmat swego życia spędzić w bezpośrednim pobliżu lub obrębie jednego z owych kolosalnych organizmów społecznych, musiałby przejść przez jego tryby, odczuć na swoim własnym ciele drapieżne szpony i potworne uściski kolosa.

Autor taki dotąd w literaturze nowej Polski niepodległej nie powstał. Na tle zaś hierarchii, która nad życiem naszym panuje, wątpliwą jest rzeczą, czy powstać może, a powstawszy, osiągnąć właściwą potęgę wyrazu. Ludzie — w swej przygniatającej większości — chwyceni w zębate koła wytwórczości i mechaniki kapitalistycznej (czy pamiętacie postaci robotników w ostatnim filmie Chaplina: „Dzisiejsze czasy"?) spadli, pod ciężarem nadmiernej pracy i nędzy, na poziom tak niski, są tak dalece znękani i zubożeni na duchu, że mają siłę zaledwie do tego, aby cierpieć, ale już brak im siły, aby cierpienie swe wypowiedzieć. Pod tym względem znajdują się w warunkach niepomiernie gorszych od stanu, w jakim żył człowiek dawny, i nawet najdawniejszy, bliski prażródłom cywilizacji. Ludzie dawni, niegdysiejsi, którzy — naprzykład — wyśpiewali „Iliadę" oraz inne eposy bohaterskie, należące do szczytów twórczości, byli nieoświeceni i nieokrzesani, z pewnością mniej światli od proletariatu naszych czasów, który przeważnie umie czytać i pisać. Ale pokolenia tamtych dawnych wieków nosiły w sobie niewyczerpany zasób genialności, nieprzebrany zdrój potencji poetyckiej: pełną piersią wypowiadali swe radości i bóle, swoją miłość i nienawiść, swoje uniesienia, wniebowzięcia i walki. Jakimż nędzarzem w porównaniu z nimi jest proletariusz dzisiejszy. Cierpienie jego, jak niemy film, upływa w milczeniu. Proletariusz dzisiejszy, o ile nie jest dożywotnim osiedleńcem bezrobocia, na upokarzającą skazanym jałmużnę, sprowadzony zo-

stał do roli dodatku w maszynie wielkich kompleksów, utracił dar wypowiedzi poetyckiej, ów boski dar pieśni, który miał w sobie prostak i barbarzyńca w zaraniu dziejów. Język najemnej trzody ludzkiej, zapędzonej w jarzmo zmechanizowanej wytwórczości i zmechanizowanej wymiany; język tej trzody, wyzutej z poczucia celowości i treści swego wysiłku, jest tak ubogi i wyjałowiony, że nie zawiera więcej ponad kilkaset słów (w tym olbrzymi odsetek przekleństw i złorzeczeń) niezbędnych do wyrażenia najgrubszych potrzeb i najelementarniejszych wzruszeń.

TRAGICZNY ROZBRAT.

Słownik, którym operuje autor „Nauczycieli", jest na szczęście o wiele zamożniejszy; o wiele bogatszy w wyrazy i bogatszy w pojęcia. Dzięki temu względnemu bogactwu otrzymaliśmy powieść o wymowie przejmującej, a nawet piekącej i wnikliwej, jakkolwiek dalekiej od artystycznych wymagań stylu i kompozycji. Co zaś szczególną tej wymowy stanowi siłę i ostrość, to *właśnie odwaga, z jaką autor w doli nauczyciela polskiego obnaża i ukazuje dolę autentycznego proletariusza.* Ten proletariusz w kołnierzyku i krawacie nie ma jeszcze samowiedzy proletariatu, ale już dźwiga na szyi jego jarzmo. Jest więc podwójnie wydziedziczony. Już smagany jest biczem wszystkich nędz i upokorzeń, związanych z losem wolnego najmity, ale jeszcze nie dotknął stopą gruntu przemienienia: nie wszedł do nowej ojczyzny, dającej wywłaszczonym dumę bojowników i wiarę budowniczych jutra. Już czuje — jak ów stary, sterany belfer-łacinnik, któremu wódka i zakąski (zamawiane na cudzy rachunek) pozostały, jako jedyna pociecha życia — że „los jego jest zas..ny" ale jeszcze nie śmie wydać mu walki. Nie śmie spojrzeć w oczy tej rzeczywistości, która go zdeklasowała i która go nadal degraduje. Woli przed nią uciekać. Woli się przed nią kryć i przemycać, jak ów inny, niemniej sponiewierany, belfer, który, gdy mu wypadnie kajety nieść ze szkoły do domu, *chowa je pod palto, aby nie posądzono go na ulicy, że jest... tylko nauczycielem.* Stąd to pochodzi ów tragiczny paradoks niedoli, że wzrastający ucisk ekonomiczny, jeśli zrzesza i łączy proletariat fabryczny, to, niestety, jakże często izoluje pracownika umysłowego, a niekiedy wręcz łamie go duchowo i rzuca na bezdroża, każąc mu zaciągać się pod znaki ideologii, wrogiej jego warstwie. Stąd pochodzi także i ów tragiczny rozbrat, dzielący świat pracy umysłowej na dwie odrębne grupy, z których jedna, uświadomiwszy sobie swe miejsce i swe zadania w społeczeństwie, podaje dłoń braterską robotnikowi i chłopu, aby iść wspólną z nimi drogą, gdy druga, żebrząc chwyta się nóg wielkiej burżuazji.

Spójrzmy, jak rozbrat ów odbija się w powieści Łukasiewicza na konkretnym gruncie odmalowanego przezeń jednego z prywatnych gimnazjów w dużym mieście prowincjonalnym.

DYREKTOR SZKOŁY, JAKO MANDATARIUSZ SFER DOBRZE SYTUOWANYCH

Na czele gimnazjum stoi dyrektor Ostaszewski w jednej osobie mag i przedsiębiorca; poławiacz wpisów uczniowskich i plantator pracy nauczycielskiej; chytry spekulant, stawiający pieniądz ponad wszystko, i namaszczony kuglarz, znający wagę obrzędu celebrowanego ku czci uświęconych bałwanów.

Wszystkie te cechy — chciwość, próżność, egoizm i kuglarstwo — składają się w duszy dyrektora na wiązankę cnót niezwykle charakterystycznych dla naszej rodzimej parafiańszczyzny, tak niewinnej z wierzchu, a tak w głębi rzeczy morderczej dla każdej twórczej inicjatywy. Ale nie one są najważniejsze. Prawdziwa wartość tej figury literackiej, jaką autor dał nam w osobie dyrektora szkoły, spoczywa o wiele głębiej. Polega na talencie, z jakim autor spaja tę figurę ze środowiskiem, na kunszcie z jakim ustawia ją w perspektywie społecznej, w perspektywie tych uzależnień, wpływów i oddziaływań, które przez dyrektora wywierają nacisk na grono nauczycielskie, a przez nie — na młodzież. Oddziaływania te, dalekie od wymagań pedagogii, powołanej do budzenia twórczych pierwiastków w człowieku, pracują całkowicie na rzecz zachowania w społeczeństwie zbutwiałych norm dotychczasowych. Niedawno, tuż z poza ramion dyrektora Ostaszewskiego wychyla się dyskretna lecz rozstrzygająca, zażywna i pieniężna osobistość rejenta Badowskiego, opiekuna szkoły: ostatnie, miarodajne ogniwo tego łańcucha wpływów, którego kraniec przeciwległy zawieszony jest gdzieś daleko i wysoko u klamki jakichś urzędów, jakichś banków stołecznych. Rejent Badowski — to, postawiony przy boku dyrektora, przedstawiciel tych sfer dobrze sytuowanych, które chcą mieć w szkole zagwarantowaną fabrykę reprodukowania swej ideologii: ideologii kapitalistyczno-klerykalnej. Co autorowi „Nauczycieli", jako pisarzowi, szczególny przynosi honor, to rzadka wnikliwość, z jaką potrafił dzisiejszą szkołę mieszczańską ukazać od strony jej roli bardzo intymnej a bardzo zasadniczej: roli hodowania kadrów młodzieży dla ruchów wstecznych i obskuranckich.

O życiu prywatnym i osobistym dyrektora Ostaszewskiego dowiadujemy się niewiele, ale też stwierdzić należy, że w zupełności wystarcza nam ten obraz, w którym na kartkach powieści sposągowiał on, jako mąż publiczny. Ten posąg pedagoga jest, nadewszystko, pomnikiem władzy administracyjnej. Władzy zarówno wobec uczni, jak wobec nauczycieli. Ten przewodnik młodzieży jest, nadewszystko, biurokratą, rozkochanym w urzędowaniu. Z jakąż lubą ekstazą pontyfikuje urząd przewodniczącego na radzie pedagogicznej, która pod jego kierunkiem zmienia się w nabożeństwo, odprawiane przed ołtarzem własnej pychy i próżności. Z jakąż powagą odczytuje papiery, napływające z wyższa, choćby najbłahsze, a potym jak czołobitnie je zwija i składa, niby na majestacie, na zielonym suknie obrad. Jeśli gdzie i kiedy, to tu w tej sali obrad, mimowoli przypominają się słowa satyryka:

Od idioty do idioty
Idzie sobie, panie złoty,
Papier.
Poczym znowu, w ciężkim pocie,
Zwraca idiota idiocie
Papier.

(„Cztery wieki fraszki polskiej") Wyd. J. Tuwima.

Nacjonalizm, kapitalizm i klerykalizm mają w panu dyrektorze Ostaszewskim niezłomnego strażnika, który w tej trójcy ideałów widzi trzy najpewniejsze rękojmie zabezpieczenia bytu ludzi dobrze myślących i dobrze uposażonych. Postać dyrektora

szkoły jest w powieści tak żywa, tak dobrze postawiona, tak uroczysta w każdym swoim fałszu, tak niezawodna w każdym geście, tak imponująca w obszarze dewastacji, szerzonej w podległym sobie zakresie, że sama przez się stanowi klejnot literackiej kreacji. Sama przez się przedstawia egzemplarz, na którym możnaby studiować proces cofania się myśli polskiej od jej źródeł twórczych ku bagnom zastoju. Dyrektor Ostaszewski to — jedna z tych nóg stołowych, na których wspiera się biurokracja, ale utyka Rzeczpospolita; wspiera się bałwochwalstwo władzy, ale upada kultura narodu.

Dyrektor Ostaszewski jest, przy swym sprycie finansowym, tępy i ograniczony. Ale gdyby był geniuszem, nie odpowiadałby lepiej zadaniu, pełnionemu w interesie tych sfer społecznych, które mu mandat przewodnika młodzieży powierzyły. Interes ów, rzecz prosta, nie ma nic wspólnego z interesami Rzeczypospolitej, z interesami całości narodu. Bez reszty zato pokrywa się z ową kongregacją feudalnego i finansowego możnowładztwa, która na całości narodu pasorzytuje i która nawet przywłaszcza sobie monopol jego przedstawicielstwa, jako jedyna partia „narodowa". W służbie tego możnowładztwa najobskurniejsze rysy dyrektora gimnazjum, niespodzianie, przeoblekają się w jego zalety, w jego zwycięskie atuty. W promieniach hierarchii kapitalistycznej, patronującej kartelom i obszarnikom, *taki* właśnie pedagog staje się wymarzonym szczytem pedagogii. Jego naturalna ograniczoność umysłowa będzie najlepszą zaporą przeciw dopuszczaniu do kierownictwa młodzieży jednostek światłych i wybitnych. Jego próżność i fałszywa ambicja najskuteczniej czuwać będzie nad doborem posłusznych miernot i zrezygnowanych służalców. Jego własna tresura, wypraktykowana w czcicielstwie pieniądza, w szacunku dla możnych i pogardzie dla ubogich, w podziwie dla każdej gotowej fortuny i każdej wyświęconej kariery, stanie na straży tresowania dusz i umysłów młodzieży w różańcu tych samych cnót i zdolności: cnót, upadlających człowieka, lecz niezbędnych dla nadpróchniałej oligarchii.

SYMBOL OŚWIATY CZY ZBIÓR POŁAMANYCH PARASOLI?

Bo pomimo gromkich haseł naukowych i wychowawczych, jakimi pan dyrektor popisuje się na radach pegagogicznych, w jego szkole nie ma ani nauczania, ani wychowania. Jest tylko tresura, i pod kątem wymagań tresury dobiera się tam siły nauczycielskie. Te siły nauczycielskie, jako postaci i charaktery, rysują się pod piórem naszego autora już nie tak plastycznie, jak soczysta i ruchliwa sylweta dyrektora. Nie mniej wszakże składają się na ciekawą kolekcję osób, z których każda ma twarz swoją własną, może nieco karykaturalną, lecz żywą. Gburowaty, wcale niegłupi, a przecież potulny Zięba, bezmyślny i rubaszny Hakier, Garek — cymbał czołobitny, nudny i beznadziejny Wojtulewicz, Starek o mózgu zżartym przez strach i nędzę, Garekowa — uprzyjemniająca sobie życie szpiegowaniem kolegów, Wartel — niski i brudny podnóżek władzy dyrektorskiej, wreszcie skretyniały Serafiński, czerpiący jedyną chlubę stąd, że jest zięciem emerytowanego generała: oto drużyna „prometejska", która, pod wodzą Ostaszewskiego i pod błogosławieństwem księdza prefekta, w tej prywatnej fabryce matur prowadzić ma młodzież na podbój wiedzy, na zdobycie prawdy o świecie i człowieku. Ten żywy magazyn ludzki byłby karykaturą już wtenczas, gdyby miał symbolizować zbiór połamanych parasoli! Cóż powiedzieć o nim, jako o symbolu oświaty?

W tę spokojną sadzawkę, pleśniejącą pod martwą atmosferą miasta, los rzuca dwóch młodych ludzi, dwóch nowych nauczycieli, którzy odrazu wzburzyli jej fale do samego dna. Ich przygody na gruncie uczelni, ich przeżycia w zetknięciu ze środowiskiem miasta, ich walki z zastarzałą rutyną fałszu i marazmu, panującego w szkole, stanowią fabułę powieści. Jeden z nich — Makowiecki — jest Żydem; jest on wybornym znawcą matematyki, ale nie to zapewniło mu stanowisko nauczyciela w narodowo-katolickim gimnazjum; stanowisko to otrzymał on dzięki szczęśliwemu nieporozumieniu, które wywołała łudząca końcówka jego nazwiska. Nieporozumienie, oczywiście, nie może trwać długo. Najszlachetniejsza końcówka nazwiska nie zdoła w oczach klerykalnej dyrekcji wyrównać innych braków w osobistości Żyda, i znakomity matematyk po roku „wylany" będzie ze szkoły bez względu na jak najlepsze wyniki swej pracy. Nie uchronią go próby kompromisu. Nie ocalą go nawet pewne wymuszone ofiary z godności osobistej. Kurator, rzecz prosta, nie omieszka interweniować przeciw krzywdzącej dymisji zdolnego nauczyciela, jednakże kruszyć oń kopij nie będzie, i wykazawszy „maksimum dobrej woli" ze strony rządu, skapituluje w końcu przed decyzją prywatnego przedsiębiorcy.

Andrzej Grot

Nie ma człowieka, który by nie chciał stać się bogaczem.

Ale nie ma bogacza, który by pragnął, aby wszyscy stali się bogaci.

Czy nie na tym kontraście polega zasadnicze znamię naszego ustroju? Zbytek i dobrobyt jednostek, aby kwitnąć, musi korzenie zapuszczać w nędzę i poniewierkę mas.

Współpracownikami „Epoki" są nie tylko ci, którzy w niej piszą. Są nimi także ci wszyscy, którzy jej idee podzielają; którzy je propagują i rozpowszechniają.

PODPORY CIEMNOGRODU

„GONIEC WARSZAWSKI"

Któż nie zna warszawskiego „Gońca", tej najkrzykliwszej nuty w zgiełku obskuranckiej prasy stołecznej? Któż choćby z odległości ulicy, nie zna tej tuby codziennych plotek, płaskiej a narzutliwej sensacji i wybujałej reklamy, obsługującej rozmaite grupy interesów, grupy coraz to inne, lecz zawsze wyposażone we wpływy i w środki finansowe?

Powstawszy przed dwoma laty, jako secesja z obozu endecji, „Goniec" nie próbował nawet dowodzić, że dzieli go od dawnych współwyznawców coś więcej, niż spór handlowy o jakiś tytuł własności, o jakiś udział w przedsiębiorstwie i jego dochodach. Ale, powstawszy, zrozumiał odrazu, że widoki powodzenia mieć może tylko o tyle, o ile zatarg swój z rejestru handlowego przeniesie w rejestry bardziej górne i „mistyczne".

Rzuciwszy tedy zasłonę na swój wspólny z endecją bagaż wstecznictwa, jął szminkować swe artykuły na kolor opozycji; opozycji nie zwyczajnej, ale idealistycznej, integralnej i totalnej: opozycji naprzód przeciw rządom, panującym w kraju, ale także i przeciw porządkom, panującym w całym ustroju kapitalistycznym.

Rozmyślnie stosowana mętność frazeologii pozwalała na postawę obosieczną, która zdawała się rokować podwójne zyski. Z jednej strony obliczona była na kaptowanie tych, którym sanacja wydawała się kierunkiem nadto prawicowym, z drugiej apelowała do tych, którym sanacja wydawała się rządem niedość narodowym. I jednym i drugim wmawiano, że mają w „Gońcu" niezawodną trybunę.

Ta podwójna buchalteria w polityce szła w parze z ostentacyjnie celebrowanym purytanizmem w rzeczach wiary religijnej, etyki chrześcijańskiej, tradycji katolickiej i cnoty obywatelskiej, nie licząc czystości narodowej, jako ideału, który wieńczy wszystko.

Dosiadłszy wysokiego konia moralizmu, „Goniec" wpajał w swych czytelników pobożne mniemanie, że Polska stoczyłaby się w bagno zepsucia, gdyby on nie „stał na posterunku", nie „czuwał", nie „alarmował" i nie „karcił".

Wśród tych karcicieli i moralizatorów jedno zwłaszcza nazwisko — B. Kalinowski — nabrało na łamach pisemka niezwykłego rozgłosu. Pan B. Kalinowski wyspecjalizował, wyostrzył się w roli czyściciela społecznego, rzekłbyś, w roli: sanatora sanacji. W tej roli prędko stał się filarem reakcji, ba! prawą ręką redaktora, jego czujnym uchem, jego nosem i piórem. Z jakąż rozkoszą ten purytanin wgrzebywał się w każdy śmietnik, z jakim zapałem przetrząsał każdą kupę cudzych brudów, z jakim gniewem Torquemady wlókł na stos każdego już nie winowajcę, ale podejrzanego o sprzeniewierzenie się ideałom cnoty.

Jeśli, czytając „Gońca", możnaby pomyśleć, że w ścianach jego redakcji niedawno zamieszkała cała uczciwość Polski, to, czytając artykuły p. Kalinowskiego, mieliśmy pewność, że pod jego kamizelką skupiła się cała uczciwość redakcji.

I oto w czasie, gdy nasz surowy Katon w „Gońcu" sięgał wyżyn kaznodziejstwa, w jego głos nagle wmieszał się z boku jakiś ton obcy i dziwny, jakiś akompaniament spokojny lecz nieodparty, jakiś akcent suchy lecz wymowny. Powiedzmy otwarcie: wmieszał się głos prokuratora.

Do sądu okręgowego w Warszawie wpłynął, mianowice, sporządzony przez urząd publiczny, akt oskarżenia *) przeciwko współwłaścicielom firmy p. n. „Towarzystwo do handlu drzewem Rettel" — Salomonowi Frydmanowi, Witoldowi Zawadzkiemu i jego bratu Bolesławowi Zawadzkiemu oraz Konstantomu Srokowskiemu. Frydman oraz bracia Zawadzcy oskarżeni są o oszukańcze machinacje, wskutek których Skarb Państwa poniósł straty w wysokości 287 tys. złotych.

Niecierpliwy czytelnik z pewnością zawoła: Tam, do diabła! A cóż wspólnego ma firma „Rettel" z „Gońcem", a pan B. Kalinowski z Witoldem lub Bolesławem Zawadzkim? Co ma wspólnego? Ależ bardzo wiele: pan B. Kalinowski z „Gońca" to — nikt inny — jak się okazało — tylko Bolesław Zawadzki. I jeśli pan B. Kalinowski pisuje w „Gońcu" swe natchnione artykuły moralizatorskie, to jedynie dzięki temu, że Bolesław Zawadzki pozostaje do czasu rozprawy sądowej na wolności, zobowiązany wszakże przez władze do niewydalania się z miejsca zamieszkania.

Dwóch ludzi w jednej parze spodni to — zjawisko niecodzienne. Ale w jednej osobie dwóch ludzi o tak różnych twarzach, to już doprawdy — osobliwość.

Bo spójrzmy tylko: Jeden jest płonącą żagwią antysemityzmu, drugi nie gardzi współpracą z Żydem, jeśli związek taki przynieść może wysokie, choćby ryzykowne zyski. Jeden, jak ryś, walczy przeciw „wspólnym ławkom" w szkołach, drugi pokornie zasiądzie obok Żyda na wspólnej ławie oskarżonych.

Nie zajmowalibyśmy się sprawą braci Zawadzkich, gdyby była ona tylko ich sprawą prywatną. Nie naszą jest rzeczą prowadzenie kroniki sądowej. Ale sprawa braci Zawadzkich jest także sprawą pana Kalinowskiego. A pan Kalinowski to — szermierz pewnej wojującej doktryny, płytkiej wprawdzie i obskuranckiej, lecz jadowitej, ba skierowanej na opętanie umysłów słabych i bezradnych; pan Kalinowski to — również filar pewnego gatunku prasy ulicznej.

Rzeczywistość, która nieraz lubi sama stawiać kropkę nad i, sprawiła, że w tym samym dniu, gdy „Głos Powszechny" zdemaskował p. B. Kalinowskiego, ten ostatni, nie przeczuwając „demaskarady", wszedł, jak zwykle, na trybunę „Gońca", aby poprowadzić kolejny atak na „wrogów narodu i państwa". I tym razem, nacierając na baronów węglowych, miał zapewne słuszność. Ale ta słuszność jednodniowa nie uchyla wagi przygniatającego pytania: jakim czołem osobnik, obarczony ciężkim oskarżeniem współwiny w działaniu na szkodę Skarbu Państwa, ubierać się może w rolę korektora cudzych błędów i nieprawości? Jakim czołem redakcja dziennika, ubiegającego się o popularność, choćby w najmniej wybrednym tego słowa znaczeniu, pchać może na trybunę publiczną kogoś kto może wprawdzie zdobyć popularność, ale zupełnie swoistego rodzaju?

Bo zważmy: jeśli człowiek, mający pociąg do nadmiernie zyskownych przedsięwzięć, nakrywa się pseudonimem nieskalanej cnoty, a współwłaściciel firmy żydowskiej przywdziewa jednocześnie zbroję antysemityzmu, to w tych jaskrawych sprzecznościach tai się coś więcej, niż gra pomylonych godeł. Zawiera się w nich, bezspornie, model tej całej aparatury, która pod maską szerzenia nienawiści rasowych, narodowych lub religijnych dąży do zatrucia opinii publicznej, aby tym łatwiej ujść przed jej surową kontrolą.

I dlatego ta kontrola, której tym razem zmylić się nie dało; ta kontrola, której głos zabrzmiał tak groźnie w postaci aktu oskarżenia, nabiera w chwili obecnej charakteru doniosłej akcji oczyszczającej. Ta ława, na której filar „Gońca" zasiądzie razem z filarami firmy Rettel, jakże znamienne światło rzuca na kulisy antysemityzmu w obozie wojującego endectwa!

K. Sawa.

*) P. *„Głos Powszechny"* nr. 11 i 15.

KSIĄDZ PROFESOR STEFAN PAWLICKI

(W dwudziestą rocznicę zgonu)

Ksiądz profesor Stefan Pawlicki to jedna z najciekawszych — i najbardziej zapomnianych — postaci polskiego pozytywizmu. Urodzony w roku 1839, był towarzyszem pierwszych bojów Aleksandra Świętochowskiego, Piotra Chmielowskiego, Juliana Ochorowicza i księdza Franciszka Krupińskiego. Napisał szereg dzieł o treści filozoficznej i socjologicznej, które po dziś dzień nic nie straciły na swej istotnej, niepowszedniej wartości. Należą tu przede wszystkim: „De Schopenhaueri doctrina et philosophandi ratione", „Lassalle i przyszłość socjalizmu", „Der Ursprung des Christentums", „Filozofia Ojców Kościoła", „Historia nowszej filozofii od Kanta do czasów współczesnych".

Ksiądz Pawlicki posiadał olbrzymią energię, umiał obcować duchowo z myślicielami różnych epok. A przede wszystkim obdarzony został przez naturę wspaniałym darem analitycznego i krytycznego myślenia.

We wczesnym okresie swej działalności był on bojownikiem haseł t. zw. „warszawskiego pozywizmu". Zajmował stanowisko docenta w Szkole Głównej. Po tym przyszły głębokie wewnętrzne przemiany — i młody uczony wstąpił do Zgromadzenia Zmartwychwstańców Pańskich. Otrzymał katedrę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Od tego czasu Kraków — dzięki ks. Pawlickiemu i Maurycemu Straszewskiemu — stał się ośrodkiem badań historycznych na polu filozofii, „zarówno dawnej, jak bliższej, zarówno polskiej, jak obcej".

Warto przypomnieć poglądy, zawarte w jednym przynajmniej z pośród jego dzieł. „Lassalle i przyszłość socjalizmu" — to książka napisana przez ks. Pawlickiego w pełni rozwoju jego sił badawczych, wydana w Krakowie w roku 1874, gdy jej trzydziestopięcioletni zaledwie autor był już wykładowcą na Wszechnicy Jagiellońskiej. Stanowi ona przy tym najpiękniejsze świadectwo objektywizmu naukowego autora. A nadto, historycznie, jest to owoc pierwszych. głębokich rozważań Polaka nad zagadnieniem socjalizmu, pierwsze u nas poważne studium z tego zakresu. Jakiż paradoks! Przypadek zrządził, że badania nad „lassalizmem" i „marksizmem" rozpoczął w Polsce — ksiądz!

I to rozpoczął w sposób przynoszący zaszczyt jego pamięci. Umiał oddać „co cesarskiego cesarzowi", umiał ocenić zasługi naukowe teoretyków socjalizmu. Przyznawał, że Marks doskonale zanalizował ekonomiczną sytuację klasy robotniczej. Trzeźwo patrzał na ujemne strony rozkwitu cywilizacyjnego, którego był świadkiem.

„Niestety — pisał — największe państwa Europy chorują dzisiaj na kwestię socjalną, to jest na bezład społeczny, choć mało kto go widzi, a ci nawet, co go widzą, nic na to poradzić nie umieją, bo i tych nielicznych spostrzegaczy szał cywilizacyjny pozbawia trzeźwości sądu".

„Złota cywilizacja nasza bankietuje nad drzemiącym Wezuwiuszem. A jednak oznaki wybuchu są tak widoczne, tak liczne"!

„Jaskrawa antyteza bogatego próżniactwa a krwawej na chleb powszedni zarabiającej pracy, wielkich majątków i nagich biedaków rozbudza w duszach ową nienawiść, bez której socjalizm żyć nie może".

Kwestia socjalna i socjalizm nie stanowią, światłym zdaniem ks. Pawlickiego, dzieła przewrotnych jednostek, lecz są nieuchronnym rezultatem istniejących stosunków. „Czyż ta uparta jej (kwestii socjalnej — przyp. Red.) wytrwałość, ten wzrost ciągły i zwiększona śmiałość nie dowodzi prawdy jakiejś lub części prawdy, spoczywającej w jej głębinach, domagającej się coraz głośniej życia i rzeczywistości? Nie zamykajmy więc oczu na jej widok... przypatrzmy się jej dobrze i poznajmy zupełnie"...

Bez uprzedzeń odnosił się też ks. Pawlicki do wodzów ruchu socjalistycznego. „Podnosząc wszystkie dodatnie strony ducha (Marksa i Lassalle'a), mówię o nich czasem z widoczną sympatią" — przyznawał otwarcie. Lassalle „...wyobraża ideę, która w całości fałszywa bo jednostronna, ma jednak w sobie jądro prawdziwe, które prędzej czy później zakiełkuje, przyjmie się, wyrośnie. To jego historyczne znaczenie, to potęga imienia jego... W tym jest sława jego i wartość osobista godna uznania".

Z tym samym objektywizmem traktował ksiądz Pawlicki postać Marksa. „Dzięki liberalnym gazetom istnieją o Marksie i Pierwszej Międzynarodówce wyobrażenia zupełnie fałszywe; na karb ich kładą zbrodnie najpotworniejsze". W rzeczywistości zaś Marks to „głęboki i wszechstronnie wykształcony myśliciel, zawsze gotów poświęcić interes swój osobisty przekonaniom swoim teoretycznym", zaś słabo jeszcze podówczas znany I tom „Kapitału" stanowi „dzieło znakomite".

„Przeciwnicy Lassalle'a lub Marksa z obozu liberalnego robią na mnie wrażenie liliputów, rzucających się na olbrzymy. Dowodzi to wielkiego wycieńczenia sił, wielkiego upadku ducha... Kasty te (liberalno-kapitalistyczne) nie mają nawet broni potężnej, mogącej zastąpić brak geniuszu, nie mają już systemu, w który wierzą... ekonomia polityczna wysunęła im się z rąk zupełnie i dostała w posiadanie przeciwników, odkąd Lassalle dowiódł, że ekonomia polityczna musi koniecznie z wyżyn, na które ją zawiódł Ricardo, spaść w otchłań socjalizmu"...

„Przeciw idei nie siła materialna, lecz koniecznie idea druga do walki wystąpić powinna". „Kto chce skutecznie rozprawić się z jaką teorią, musi naprzeciw niej postawić teorię lepszą. Tego liberalizm uczynić nie mógł, dla tej prostej przyczyny, że jej nie ma".

Ksiądz Pawlicki przestrzegał przeciw stosowaniu represyj względem ruchu, wyrosłego na głębo-

„Epoka" jest pismem, stanowiącym własność jej abonentów. Na tym zasadza się jej niezależność.

kim podłożu ekonomicznym i posiadającego celniejszą, niż przeciwnicy, teorię naukową. „Materialne prześladowanie socjalistów na mało się przyda"... „Rządy od trzydziestu lat zajęte ściganiem socjalizmu, nie mogą się pochwalić żadnym poważnym rezultatem; mimo procesów, kajdan, banicyj rzucanych na przedstawicieli nowego ruchu, ruch ten nie tylko nie ustał, lecz wzmaga się z każdym rokiem". Albowiem „idea nie da się przebić bagnetem ani osadzić w więzieniu".

Ksiądz Pawlicki nie był marksistą. Ale nie żywił żadnej nienawiści w stosunku do marksistów. Czy potrafiłby odczuć sens, w jakim używa dziś tego określenia sławetny król Ubu z Sewilli, mężny speaker rebeliancki, b. gen. Queipo de Llano?

Tragiczne są nasze „czasy pogardy". Na wszystkich polach przeczą prastarej zasadzie: suum cuique tribuere. Najznakomitsi przeciwnicy Marksa w dziedzinie ekonomii przyznali mu, że był „największym teoretykiem socjalizmu o niezaprzeczonej oryginalności i wysokim stopniu bystrej konsekwencji" (Böhm — Bawerk) i „największym wydarzeniem we współczesnej literaturze socjalistycznej" (Knies). Dziś natomiast dowiadujemy się z łamów „narodowej" prasy, że Marks był tylko „talmudycznym Żydkiem", godną latoroślą rabinackiej rodziny...

Można być zwolennikiem lub przeciwnikiem doktryny marksistowskiej. Ale opluwanie jej twórcy — jest czymś nad wyraz haniebnym. Świadczy o duchowym wandalizmie.

Na szczęście opluwanie to nie wszędzie przybrało charakter tak masowy, jak w pewnych krajach zachodniej i środkowej Europy. Proszę wziąć do ręki ostatnie dzieło Maritain'a, „Humanisme intégral". Ileż miejsca poświęca w nim sławny autor Marksowi! Z jakim szacunkiem przeprowadza analizę jego puścizny literackiej! Ileż razy nie waha się przyznać racji twórcy „Kapitału"!

Któż w Polsce mógłby kontynuować świetlaną tradycję prac księdza Pawlickiego? Jeden jedyny ksiądz Augustyn Jakubisiak chyba, jeśli chodzi o zdecydowanych przeciwników marksizmu. Troska o poziom dyskusji teoretyczno-społecznej w Polsce wymaga. aby marksizm znalazł u nas bystrzejszych krytyków, niż ci, którzy redagują endeckie i endekoidalne czasopisma.

W roku bieżącym, tak obfitym w rocznice, mija dwudziestolecie od zgonu księdza profesora Stefana Pawlickiego. Nie powinna minąć bez echa.

Zygmunt Jarosz

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

GORYCZ PRAWDY

Nie należy sądzić, że książka „Ze wspomnień inspektora pracy" — H. Krahelskiej, M. Kirstowej, St. Wolskiego*) to lektura jedynie dla speców, którzy znają i orientują się w zawiłych tajnikach ustawodawstwa ochrony pracy w Polsce. Przeciwnie! Właśnie dla laików, znających jedynie powierzchownie zagadnienie polityki społecznej, będzie to dzieło pasjonującą lekturą, wprowadzającą w świat codziennych ciężkich walk o poprawę warunków pracy i bytu. Dla szerokich warstw robotniczych pamiętniki inspektorów pracy są nie tylko wspomnieniem przebytej drogi, znaczonej zdobyczami zwycięstw i liczniejszymi jeszcze klęskami porażek, ale i nauką na przyszłość, przestrogą, drogowskazem.

Pamiętnikarswto jest naogół jednym z najniebezpieczniejszych rodzajów literackich, jako bardzo subiektywny i intymny sposób wypowiadania się, deformujący rzeczywistość w znaczeniu zupełnie specjalnym — przez zmianę proporcji i hierarchii opisywanych zdarzeń, przez grupowanie ich dowolne i przypadkowe, zależnie jedynie od wewnętrznej potrzeby i nastroju piszącego. Ale pamiętniki, czy wspomnienia inspektrów pracy oparte jak na fundamencie na dokumentach, nie mają nic wspólnego z pamiętnikarstwem literackim. I dlatego nie deformują, lecz uwypuklają rzeczywistość.

Refleksje i wnioski autorów, ich komentarze do opisywanych dziejów, spraw i podawanych dokumentów są jasne i trafne. Sens książki, a składają się na nią dwa tomy razem około 800 stron druku, prosty i przekonywujący. Obraz powstania w pierwszych miesiącach Niepodległej Polski ustawodawstwa o ochronie pracy, rozwój tego ustawodawstwa i jednoczesny wzrost i rozbudowa czynników paraliżujących działanie ustaw ochronnych, wreszcie uwiąd nieomal w zarodku prawdziwej, istotnej ochrony pracy — jest całkowity i odpowiadający rzeczywistym, realnym stosunkom. Jest prawdziwy.

Gorycz tej prawdy, jaką uwydatnia książka, nie jest łatwa do przełknięcia, właśnie dlatego, że nie jest to demagogiczna „agitka", lecz zbiór faktów i dokumentów, zwierciadło rzeczywistości. A z tej rzeczywistości, jak również z drogi, po której doszło się u nas do stanu dzisiejszego, należy zdać sobie sprawę już choćby dlatego tylko, żeby uniknąć powtarzania ciągle tych samych błędów, popełnianych przez świat pracy w walce o swoje prawa.

W pierwszych czasach po odzyskaniu Niepodległości rozpoczęto budowę na dużą skalę ustawodawstwa ochrony pracy. Ale — z jednej strony nie doprowadzono tej pracy ustawodawczej konsekwentnie do końca, a nawet z biegiem czasu kasowano powoli zdobycze pierwszych lat Niepodległej Polski. Z drugiej strony w wypadkach, gdy teoretycznie ustawy pozostawały w mocy — stosowanie ich albo było niemożliwe i niecelowe jako nieprzystosowane i sprzeczne z zasadami panującego ustroju, mającego cały regime polityczny na swoje usługi, albo — z biegiem lat nauczono się ustaw nie stosować i obchodzić je krętymi drogami. Tak, czy inaczej, im więcej czasu dzieliło nas od odzyskania samodzielnego bytu państwowego, tym bardziej pogarszały się warunki świata pracy i tym mniejsze znaczenie miały zdobycze pierwszych lat.

Autorzy wspomnień nie tylko oświetlają te fakty, ale i we wstępie podają przyczyny takiego biegu wypadków. Historiozoficzny wstęp przez syntetyczne ujęcie sprawy stosunków pracy w Polsce nadaje książce szerokie społeczne znaczenie. Nie chodzi autorom o bezpłodne i jednostronne wytykanie błędów tej czy innej partii robotniczej, ale o wyjaśnienie przyczyn, dla których wielki rozmach, z jakim przystąpiono do budowy ustawodawstwa ochronnego, został zahamowany. Niewątpliwie dziś, po latach, działacze robotniczy sami dostrzegają już błędne kroki, kompromisy niedociągnięcia, jakie popełnili pod wpływem lęku przed widmem rewo-

*) *H. Krahelska, M. Kirstowa, St. Wolski:* Ze wspomnień inspektora pracy. Warszawa 1936 r. Wydawn. M Fruchtmana.

lucji bolszewickiej. Zdają sobie sprawę, jak wiele było do zdobycia i wiedzą, że nie wyzyskali chwili dogodnej dla zmian trwałych i istotnych, pozwalając, aby ich niezdecydowanie wygrywane zostało przez obóz przeciwny.

Przykrość osobista, jaką odczuć muszą niektórzy działacze czytając książkę zbiorową b. inspektorów pracy, ustąpić musi satysfakcji płynącej z przekonania, iż dobrze się stało, że za pomocą dokumentów udowodniono i uświadmiono wyraźnie i dokładnie stare błędy, aby już nigdy nie mogły być powtórzone.

Na specjalną uwagę zasługują też licznie cytowane protokóły rozpraw sądowych w zatargach między fabrykantami czy majstrami a robotnikami, a zwłaszcza robotnicami. Historie haremów kobiecych po fabrykach, dzieje podwójnego wyzysku kobiety — robotnice — oświetlają te protokóły w sposób szczególnie jaskrawy.

Materiał do wiedzy o prawdzie stosunków pracy w Polsce daje książka olbrzymi i dlatego winni ją czytać wszyscy ci, którzy nie chcą zamykać oczu na naszą „rzeczywistą rzeczywistość".

Do przyjaciół „Epoki"

Prosimy o podanie nam adresów osób, którym należy przesłać numery okazowe „Epoki"

IDEOLOGIE A PRAWO DO CHLEBA

Interesującą sztukę czeskiego autora Wernera p. t. „Ludzie na krze" wystawia obecnie „Ateneum", jeden z najżywiej i najinteligentniej prowadzonych teatrów. Nie jest to jakaś specjalna rewelacja artystyczna, ale utwór zajmujący, aktualny, pisany z nerwem. Właściwie niewiadomo dlaczego u nas takie sztuki nie powstają, kiedy samo życie krzyczy wielkim głosem, aby to co widzimy choćby od ręki, na surowo zawrzeć w kształt sceniczny. Bo dobra uczciwa sztuka teatralna to jest nader często dyskusja, a współczesne życie i obyczaje dostarczają tematów aż w nadmiarze. Ludzie są spragnieni omówienia palących kwestyj, które często wydają się nierozwiązalne. Zwłaszcza młodzieży współczesna egzystencja wydaje się często zbiorem rebusów, które zdrowy rozsądek każe rozwiązywać w pewien sposób, a ogólnie przyjęte poglądy, narowy myślenia, troska o opinję — inaczej. Jak znaleźć sensowne wyjście z chaosu wypadków?

Autor czeski ukazuje nam przeciętną rodzinę inteligencką, borykającą się z nędzą materialną i nieuniknionymi kompromisami życia. Stary ojciec, uważający siebie za idealistę, bo mu się nie powiodło w życiu, jest rezonerem sztuki. Buntujemy się trochę przeciw jego interpretowaniu własnej osoby. Sukces życiowy może być wykładnikiem braku skrupułów i nawet podłości. Jednak nie zawsze. Czasem może mu sprzyjać talent, namiętność do jakiejś pracy, zalety charakteru, a raczej ów urok osobisty jaki emanują ze siebie niektórzy ludzie, energia, inicjatywa, a czasem poprostu przysłowiowy łut szczęścia, czyli pierwiastek irracjonalny, a może bardziej racjonalny, niżby się to napozór zdawało. Przyczyną nieudanych egzystencyj rzadko jest niezłomność przekonań, twarda wierność sobie, bo takiego istnienia ludzkiego choćby się nie uwieńczyło korzyścią materialną, nie można w żadnym razie uważać za nieudane. Tacy ludzie mają wiarę w siebie i w swoje posłannictwo, gorący szacunek choćby paru przyjaciół, siłę wewnętrzną która ich broni od krachu. Nie ten jednak typ pokazał nam Werner, choć chciałby nam wmówić że właśnie z takim człowiekiem mamy do czynienia. Stary ojciec to zabiedzony nauczyciel, człowiek uczciwy niewątpliwie, ale mierny, głupawy, myślący raz utartymi szablonami, nie mający w życiu poza mglistymi, idealistycznymi frazesami żadnej pasji. Praca jest dla niego nie namiętnością ale obowiązkiem, przyjmuje jałmużnę od antypatycznej upokarzającej go siostry, kłania się nisko przełożonym i wszystkie swoje ambicje życiowe ogranicza do opłacania składki członkowskiej mglistego stronnictwa opozycyjnego.

Ten człowiek, dla którego możemy mieć współczucie, ale który w żadnym razie nie może być szlachetnym reprezentantem poprzedniego pokolenia, ma czworo dzieci, mniej może uczciwych i prostolinijnych od siebie, ale obdarzonych namiętnością do swoich zawodów, wybitnymi zdolnościami, umiejętnością pracy. To są cechy cenne i dlatego papa nie może przelicytować swymi frazesami, kipiącego w nich życia i potrzeby działania. Autor chciał przedstawić upadek młodego pokolenia, nazwał ich ludźmi na krze, wśród wezbranych fal oceanu. Tymczasem to są solidni żeglarze, o sumieniach niezbyt cienkich może, brutalni i nie przebierający w środkach dla dotarcia do celu, ale świadomi siebie, swoich potrzeb i żyjący nadewszystko energią i działaniem.

Dobrze są zarysowane postaci tych dzieci. Najstarszy syn to bezrobotny inżynier, który chce i umie pracować, niewątpliwie pierwszorzędna siła, ale degenerujący się bez pracy, w jadowitej neurastenii. Drugi syn to poczciwy głuptas, ale niepospolity sportowiec. Córka niezwykle piękna, marzy o karjerze filmowej; nie marzy, idzie ku niej naprzełaj, nie bacząc na przeszkody. Ostatnia wreszcie, najbliższa ojcu, to młoda doktorka, idealistka jak i on, której

młodość, uroda, inteligencja marnują się w ciężkiej walce, już nie o byt nawet, ale o chorego w szpitalu, o możność wykonywania zawodu.

Widzimy więc, że staruszek nie wart mieć takich dzieci. Talenty, uroda, wyraźne zdolności, chęć pracy. Życzę każdemu ojcu takiego potomstwa. Ale stary zrzęda jest niezadowolony, niczym mu nie można dogodzić, jest w ciągłym konflikcie z tymi dziećmi, każde ich posunięcie życiowe przyjmuje jak osobistą tragedię.

Droga, jaką idą do celu ci młodzi, nie zawsze jest sympatyczna, zapewne. Wszyscy oni prawie traktują swoje awantaże fizyczne jako pomoc w dojściu do upragnionego celu. Aktoreczka filmowa, rzecz jasna, musi przejść przez różne ręce. Mężczyźni są dla niej tylko szczeblami do wspięcia się w górę. Młoda doktorka też dzięki urodzie nie będzie klepała biedy całe życie: znajdzie bogatego męża. nawet ładny sportowiec przez czas bezrobocia nie pogardzi zasiłkiem od swojej przyjaciółeczki. Zapewne, że to wszystko nie zupełnie moralne, ale, mój Boże, czy kiedykolwiek było inaczej? Pocóż oskarżać właśnie to pokolenie i szukać w tym „choroby wieku"? Aktorka bez popierającego ją mężczyzny zawsze miała nadludzkie trudności do pokonania na scenie. Brzydkie i biedne dziewczęta jeszcze mniej miały szans zamążpójścia, niż dziś. A młodzi chłopcy? Też różnie bywało, tylko nie przyznawali się do tego z tak szczerym cynizmem. Ojciec miota się, pomstuje, dostaje ataków duszności, a życie jego dzieci idzie swoją koleją, czy mu się to podoba czy nie. Zabawne jest, jak ten zabiedzony człeczyna głosi kult wielkiej miłości i wpaja ją dzieciom. Wielka miłość jest takim samym cudownym i rzadkim darem losu, jak talent, szczęście, choćby jak los na loterii. Niestety, bynajmniej nie jest normą i kierować się tylko nią w życiu jest to tak, jakby ktoś nie chciał wcale chodzić piechotą, nie mogąc ciągle jeździć aeroplanem. I zresztą widzimy jak papa sam zrealizował ten swój maksymalny program miłosny: ożenił się ongi z głupiutką gąską, poczciwą i zaledwie rozumiejącą co się do niej mówi. Musiała być niegdyś ładna, ale czy ona reprezentowała tę wielką miłość, którą on (niewyżyty biedak) zawraca głowę swoim dzieciom?

Wszystko go martwi i wszystko jest na jednym planie. I to, że młodszy syn dostał posadę dzięki temu, że dobrze kopie piłkę i to, że starszy zmienia przekonania na zawołanie, aby dostać zajęcie. To drugie zjawisko, naprawdę tragiczne i aż nadto cechujące naszą epokę, doprawdy inny ma ciężar gatunkowy niż wszystkie inne zmartwienia starego papy. *Dziś w szczególny sposób splotły się pewne ideologie z prawem do chleba. Dziś, w krajach gdzie się narzuca wszystkim jednolity światopogląd, ma się niezawodny sposób nie tylko żeby ukarać, ale i żeby ogłodzić opornych.* Rola uczciwego człowieka w takich wypadkach bywa nad wyraz ciężka: ma do wyboru albo możność istnienia, albo dożywotnią pogardę dla siebie. Kiedy w tej sytuacji ojciec cierpi wraz z synem i ten najcięższy krzyż chce wziąć na siebie, współczujemy obydwu.

Ta interesująca sztuka, tyloma nićmi związana z życiem współczesnym, została świetnie wystawiona przez znakomitą reżyserkę p. Perzanowską, której każda inscenizacja jest zwycięstwem inteligencji, smaku, dowcipu. Wybornie też zagrała rolę ramolciowatej matki. Jaracza szkoda było do roli biadającego i moralizującego w próżni ojca, inna rzecz, że stworzył figurę aż nadto prawdziwą. Pod batutą p. Perzanowskiej wszyscy w ogóle zawsze grają dobrze: oto co się nazywa dobry reżyser. To też wszyscy zasłużyli na najszczersze pochwały. Miła Bonacka, Daniłowicz, Pośpiełowski, wyborny Kempa, śliczna Kryńska, Gruszecka sprawiali nam prawdziwą radość każdym swoim słowem i ruchem.

Irena Krzywicka

F I L M

„WIELKA MIŁOŚĆ BEETHOVENA"

Abel Gance i *Harry Baur* wnieśli do tego filmu wartości wspaniałe i niezwykłe. Abel Gance potrafił dokonać tego, o czym nie pamięta i czego nie umie żaden prawie współczesny reżyser: zastosować w pełni metodę filmową, nie niwecząc strony dźwiękowej, zrealizować współdziałanie obrazu z dźwiękiem na nowych drogach filmowego ekspresjonizmu.

Oto Beethoven, muzyk ogłuchły, biegnie w tragiźmie swego nieszczęścia przez wieś i przez drogę polną, chce łowić uchem śpiew ptaków, szum wody, głos skrzypiec, ale cały świat zaniemówił. Żadnego odgłosu, żadnego szmeru — cisza, głucha, straszliwa cisza. Wiemy, że poza naszym wewnętrznym światem jest gwar, świergot i szum i muzyka, ale *jesteśmy* w tej chwili Beethovenem i jak on nic nie słyszymy.

Ogłuchły muzyk siada nad brzegiem wody i rekonstruuje w sobie posłyszane i zapamiętane dźwięki. I znów wiemy, że na zewnątrz tych dźwięków teraz nie słychać, lecz, że są one odbiciem przypomnień Beethovena.

Te ekspresjonistyczne walory filmu nie są dziełem scenariusza. Scenariusz dał pole jednej tylko scenie, scenie rozmowy z piorunami. Szaleje na dworze burza, niebo rozdzierają błyskawice — ogłuchły Beethoven gra — muzyką odpowiada piorunom. To jedyny bodaj moment istotnego zespolenia Beethovena z jego muzyką. W innych momentach próby podobne mogłyby wyjść wręcz wulgarnie.

Zwłaszcza raziło „natychmiastowe" powstawanie utworów muzycznych pod wpływem takich, czy innych bodźców uczuciowych. Scenarzysta chciał zmienić twórczość w proces bardzo mało skomplikowany. Ale znów potknięcia scenariusza zatarł wielki talent. Harry Baur, ten prawdziwy artysta, potrafił w każdym spojrzeniu, w każdym odruchu skoncentrować tyle odcieni, potrafił dać w tej postaci Beethovena tyle głębokiego przeżycia i tyle mocnych akcentów uczuciowych, że zaćmił i zniweczył wszystko co mogło zwulgaryzować temat tego filmu.

Jak łatwo przeszarżować tak romantyczną rolę! Nic podobnego jednak w grze Harry Baura. Umiar i realizm przeżyć, bezpośredniość i prawdziwość. Trudno nie wzruszyć się i nie przejąć tym dziełem geniusza twórczego. *Twórczego*. Bo nie ma tu mowy o t. zw. odtwarzaniu. Harry Baur *był* Beethovenem. To właśnie, w ramach reżyserii Abla Gance nadało filmowi „Beethoven" wartość, która prawdopodobnie na długie lata stanowić będzie wzór dla europejskiej kinematografii.

Kaz. L.

WYDARZENIA I DOKUMENTY

NAGRODA ZA BARBARZYŃSTWO

Doroczna nagroda literacka „la Vara" udzielana jest we Włoszech za najlepsze dzieło dziennikarza lub za „czyn, przynoszący chlubę zawodowi dziennikarskiemu".

Nagrodę w wysokości 2.500 lirów przyznano w tym roku dziennikarzom, którzy w Genewie wygwizdali negusa Haile Selassiego.

Decyzja jury, udzielającego nagrodę, zapadła jednogłośnie.

Po raz pierwszy w dziejach prasy światowej uznano za czyn, chlubę przynoszący zawodowi dziennikarskiemu — gwizd. Nagrodzono gwizdanie, które rozległo się w sali posiedzeń Ligi Narodów wobec reprezentantów opinii międzynarodowej.

Dziennikarze włoscy wygwizdali władcę pokonanego narodu.

Dziś manifestacja chamstwa uznana została i nagrodzona, jako czyn chlubny. Jeszcze raz dano w ten sposób do zrozumienia, że nawet przed forum opinii międzynarodowej nie warto przestrzegać choćby zasad dobrego wychowania. Nagrodzone chamstwo tryumfuje.

MATEMATYKA ARYJSKA

„Wiedza aryjska" w Niemczech wzbogaciła się o nowe, niemieckie wydawnictwo kwartalne, wydawane przez profesora Bieberbacha z uniwersytetu berlińskiego. Tytuł: „Deutsche Mathematik".

Pierwszy artykuł pierwszego numeru wyszedł z pod pióra autora, mało dotychczas znanego, jako matematyka: kanclerza Adolfa Hitlera.

Materiał dzieli się na trzy rubryki: praca, nauczanie, badania. W dziale „pracy" zebrano wszystko, co dotyczy... polityki partii i jej wymogów na terenie akademickim. Rubryka „nauczania" interpretuje matematykę ze stanowiska narodowo-socjalistycznego.

Oto programowy artykuł, pióra studenta z Heidelbergu, niejakiego Kubacha. Pod jego podpisem widnieje osobliwy tytuł: szef departamentu matematycznego zrzeszeń studenckich.

Pan Kubach zwalcza ogólnoludzki „przesąd", jakoby zdobycze matematycznej wiedzy były niezależne od narodowości i rasy autora. „Przeciwstawiamy takiemu poglądowi naszą mistykę narodowo-socjalistyczną. Tradycyjne i liberalne opinie (o zdobyczach matematyki) są zupełnie fałszywe".

Pan Kubach domaga się jak najgruntowniejszej „czystki" politycznej w dziedzinie wiedzy. „Reformy domaga się cała przeszłość matematyki. Jej dzieje wymagają korekty ze stanowiska rasistowskiego".

„PRAWO" NIEMIECKIE

W Trzeciej Rzeszy ukazało się zbiorowe dzieło pod tytułem „Prawo niemieckie". Opracowali je liczni prawnicy.

Dr. Best omawia w tym dziele uprawnienia tajnej policji Gestapo. Ma ona wykrywać i zwalczać wszystkie niebezpieczne dla państwa dążności. Pełny katalog antypaństwowych czynności nie da się nigdy ułożyć — wywodzi dr. Best. Co dziś nie jest groźne dla państwa, może nim być jutro.

Obserwować i śledzić należy wszystkich ludzi o „wątpliwej przeszłości". Do walki z wszelkimi antypaństwowymi elementami powołać należy korpus specjalistów.

Policja polityczna nie może w swojej działalności napotykać na żadne ograniczenia. Nawet prokurator i sędzia nie mogą mieszać się do jej czynności.

Tajna policja w państwie totalnym zostaje postawiona ponad wszelkim prawem i wyposażona w rozległe uprawnienia aż do konfiskaty majątku włącznie.

Zatrudnienie zbyt wielkiej liczby agentów jest — zdaniem autora — niemożliwe ze względów finansowych. Dlatego musi być zapewniona „współpraca ideowa hitlerowców z tajną policją". Więc — zasada: każdy hitlerowiec denuncjantem — oto ideał totalnego państwa policyjnego z wszechwładną Gestapo na czele.

PROMIENIOWANIE JUDYMA

Głos Powszechny donosi, że na Uniwersytecie Stefana Batorego odbyło się zaprzysiężenie przeszło 100 absolwentów medycyny tego uniwersytetu.

W imieniu absolwentów przemówił p. Włodzimierz Brühl, stawiając przed oczy zebranych wysoki ideał moralności zawodowej lekarza obywatela. P. Brühl mówił między innymi:

„Epoka Judyma, którego serdeczne dążenia, treść życia, stanowiące mrzonki, wyśmieli lekarze warszawscy, minęła już zdawałoby się bezpowrotnie. Cały szereg bolączek, nękających wówczas społeczeństwo usunęło ustawodawstwo pracy, instytucje opieki społecznej i ubezpieczalnie społeczne.

Ale łudziłby się ten, ktoby sądził, że problemy te zostały już definitywnie załatwione.

Przekonany jestem, że *kompleks Judymowski prześladować będzie jeszcze nieraz każdego uczciwego lekarza.* Ziemie północno - wschodnie naszego kraju dawać będą zdaje się najwięcej ku temu powodów.

Prześladowania, nienawiści rasowe, narodowościowe, religijne, to zaprzeczenie etyki lekarskiej, to zniżenie stanu lekarskiego do poziomu bezdusznego rzemiosła...

Najokrutniejsze i najboleśniejsze upodlenie ludzkości wojnami zaborczymi jest jednocześnie najskuteczniejszym unicestwieniem nietyle cywilizacji, dobrobytu i kultury, co przede wszystkim dorobku wieloletniej pracy najlepszych kadr lekarskich.

...*Wierzymy w zwycięstwo idei humanitaryzmu,* który główne oparcie znaleźć musi właśnie w stanie lekarskim. W wierze tej utrwalają nas liczne przykłady lat ubiegłych, dobitnie świadczących, że tam, *gdzie zawodzi Liga Narodów, gdzie rwą się w strzępy traktaty wieczystej przyjaźni, a karty swobód obywatelskich obryzgiwane są krwią,* tam na ostatnich placówkach honoru ludzkości i cywilizacji powiewają sztandary czerwonego krzyża".

DZIEŃ JEDNEJ POTRAWY

Jedną ze zdobyczy socjalnych hitleryzmu jest „dzień jednego dania", wprowadzony w ramach „Wintershilfe" czyli akcji pomocy zimowej. Propaganda niemiecka stawia ów „dzień jednej strawy" za wzór i manifestację zmysłu społecznego, dyscypliny socjalnej i solidarności narodowej.

Interesujące szczegóły o owej akcji podaje na łamach „Paris Soir" znakomity dziennikarz, Jules Sauerwein. Przybył on niedawno do Berlina w sławetny dzień „Eintopfgerichttag", w ową pierwszą niedzielę każdego miesiąca, kiedy nie wolno niemieckim rodzinom gotować i spożywać więcej, niż jedną potrawę obiadową.

Opisawszy, jak wygląda w drobnomieszczańskich i robotniczych dzielnicach ten dzień względnego postu, postu nie gorszego od wszystkich postnych obecnie dni Trzeciej Rzeszy, Jules Sauerwein opowiada, jak spożył obiad w jednej z wytwornych restauracyj na Kurfuerstendamm:

„Przekonamy się, jak stosuje się zarządzenie Fuehrera w dzielnicy bogatej. Dają mi do wyboru gulasz wołowy i wieprzowe ragout z kwaśną kapustą. Dania te kosztują po dwie marki, z czego 1.20

RM. przypada na rzecz Pomocy Zimowej, a 80 fenigów restauratorowi... Można jednak jakoś się urządzić. I tak np. podają mi ostrygi, lecz w szklance i z odrobiną sosu pomidorowego, tak, że wyglądają jak... coctail. Podają mi ser, ale ukryty między dwiema grzankami. Nie odmawiają mi także owoców. Jeśli zażądam, otrzymam ów „Eintopfgericht" po raz drugi. Wreszcie napoje bez ograniczenia.

Opuszczając tę świątynię ofiarną, mam wrażenie, że spożyłem lukullusową ucztę. Wydałem 21 marek.

Pytam restauratora:

— Dlaczego nie zachęca się raczej ludzi, by dużo, jak najwięcej jedli i nie przeznacza się 50 proc. rachunku na Winterhilfe? W ten sposób ta czcigodna instytucja uzyskałaby na moim posiłku 10 marek zamiast 1.10 RM.

Restaurator nie dał odpowiedzi. Zgromił mnie surowym spojrzeniem, na jakie zasługuje człowiek, któremu obca jest moralna wartość ascezy i... interesów restauratora".

Ograniczenia Eintopfgerichtu kończą się o piątej popołudniu. Potem pozostają, rzecz jasna, w mocy wszystkie nowe i znacznie dotkliwsze ograniczenia spożywcze, obowiązujące zwykłych śmiertelników.

Z kolei zwiedził Sauerwein inny zakład:

— W małej salce restauracji Horchera unosi się zapach, przypominający Boże Narodzenie. Wydają go świece płonące na każdym stole i aromatyczna esencja, paląca się w czarce. Sala jest wytworna. Na lewo od nas mężczyzna o ostrym profilu w jasnym ubraniu, wznosi kielich mozelskiego wina. To nielada osobistość: hr. Helldorff, wzbudzający powszechny lęk prezydent policji berlińskiej. Obok — przywódca sportu Rzeszy, Tschammer und Osten. Obok nich ucztuje z młodzieńczą wesołością grono lotników. Stary, pełen godności pan z białym wąsem — to szef jednego z największych zakładów przemysłowych Rzeszy, Siemens. W głębi sali, w towarzystwie żony i adiutantów — p. von Ribbentrop w własnej osobie. Przygotowuje się właśnie dla niego z wielką troskliwością duszonego bażanta. Kilka aktorek filmowych delektuje się ostrygami po 1.25 RM. za sztukę... Niełatwo sobie wyobrazić bardziej wyrafinowaną kuchnię i wytworniejsze towarzystwo".

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu Ant. B. w Łodzi: Naturalnie, w tych warunkach nie przerwiemy wysyłki. Za serdeczne wyrazy bardzo Panu dziękujemy.

Panu St. D. w Chełmie, Bezzwłocznie wysłaliśmy wszystkie egzemplarze Epoki. Jesteśmy Panu bardzo wdzięczni i obowiązani.

Pani M. K. w Stryju: Uwagi Pani przekazaliśmy autorowi recenzji. Książka będzie omówiona w jednym z najbliższych numerów.

Panu H. Z. w Radomiu: Reakcjoniści wiedzą dobrze, skąd brać argumenty. Na to źródło nie powołają się napewno, rozróżniają bowiem wyraźnie niekorzystne dla nich pobudki i intencje. To są płonne obawy.

Panu W. T. w Wilnie: Może Pan zapewnić, że „Epoka" nie jest organem masonerii. Jako ognisko myśli niezależnej i humanizmu jest zewsząd oblegane, nie mniej jednak promieniuje coraz dalej! List Pana zresztą to potwierdza i ma dla nas niewątpliwą wagę. Bardzo Panu dziękujemy.

Panu Konradowi W. w Piotrkowie: Jedyne wyjście: robić swoje. Za miły list dziękujemy.

Pani Zuzannie St. w Rabce: Utworów scenicznych nie zamieszczamy.

Panu Aleksandrowi K. w Toruniu: Takie rzeczy nadają się do brukowców. Pewno zamieściłyby „Express Poranny" albo „Dobry Wieczór". Tam bardzo cenią tego rodzaju „smaczne kawałki".

Panu Edwardowi Z. w Przemyślu: Musimy pomijać sporo spraw drugorzędnych. Bardzo dziękujemy.

Pani Helenie W. w Częstochowie: Naturalnie, ponure środowisko. I nie wie, że jest skazane na zagładę. Życzymy powodzenia w pracy.

Panu Janowi M. w Sosnowcu: Nie możemy zamieścić.

Pani Zofii W. w Radomiu: Przyjdzie czas i na to. Numery „Epoki" wysłane. Dziękujemy.

Panu Ignacemu L. w Bydgoszczy: Nie trzeba się zrażać. W tej walce nie stąpa się po różach.

Panu Adamowi P. w Zawierciu: Będziemy o tym pisali.

Pani Annie Z. w Skierniewicach: Wszystkim wysłaliśmy numery okazowe. Serdecznie dziękujemy.

Od wydawnictwa

Prosimy o nadesłanie prenumeraty za kwartał bieżący

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. PIERACKIEGO 13 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.

PRENUMERATA kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedyńczy 50 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 3541 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.